

# ECHA

POLESIA

№ 1(81)2024

**PIŃSKIE POLESIE.  
PODRÓŻ W CZASIE**

**NADBUŻAŃSKIE  
«HOLENDRY»**



Wysokie, foto Eugeniusz Lickiewicz

### **DO KRAJU ZADUMY**

Polesie, Polski stara miedzo barwna,  
bagienna połać zadumy i czaru,  
prostotą szczerą i bajką figlarną,  
urzekająca dzikością moczarów.

Wozami skrzypiąca – i bywała porykiem,  
śpiewem basów cerkiewnych aż po brzegi pełna,  
w nocy kołysana poleskim słowikiem, –  
Iny twoje przędziwo i owieczą wełna.

Płowe włosy chłopaków i dziewcząt warkocze  
i teraz widzę jasno mimo lat upływu –  
i widzę jak się żuraw przy studni chybotcze,  
i słyszę śpiew żniwiarek – i rosnę z podziwu.

Bajko moich wspomnień, poleska kraino!  
Ludu zamyślony, w ziemi zakochany,  
do ciebie moje myśli z tej oddali płyną, –  
na twarzy jestem spokojny, a w sercu splekany.

**FRANCISZEK LACHOCKI  
BARD POLESIA Z PRUŻAN**

# SPIS TREŚCI

## 4 Z NASZEGO ŻYCIA

- Iwan Czajczyc, *By pamiętali*  
6 Prezentacja Przewodnika  
po miejscach I wojny światowej  
na Pińszczyźnie  
7 Złoty Dyplom dla chóru  
«Kraj Rodzinny» z Baranowicz  
9 Przewodnik po Cmentarzu  
Trysznińskim w Brześciu



- 10 Nadbużańskie «Holendry» –  
naród na Białorusi, po którym  
zostały jedynie nagrobki i kwiaty

## 16 «PIŃSKIE POLESIE. PODRÓŻ W CZASIE»

Tatiana Chwagina,  
«Pińskie Polesie. Podróż  
w czasie» – nowa książka  
o Pińsku i o Polesiu



- 18 Pińskie Polesie na stronach  
«Malowniczej Rosji»  
22 Nikołaj Leskow i Polesie  
27 Aleksander Błok i Polesie  
29 Pińsk – centrum życia  
żydowskiego na Polesiu  
36 Drogi wojenne  
Lwa Wojtołowskiego  
i Waleriana Torniusa  
37 «Dziewicza kraina starożytności»  
40 «Zawsze szukałem swojego  
domu, szukałem Pińska...»  
46 «Ponad siedemdziesiąt pięć  
aniołów»  
50 «Byłem na stałe przydzielony  
na białoruskie Polesie»  
51 «Pińczuk» na Starym Mieście  
w Pińsku

## 52 POLSKIE LOSY

Drogi wojenne  
Telesfora Kaczmarka



## 65 PRZYRODA POLESIA

Przyrodnicze rezerваты Polesia.  
Bagno «Dzikie»

- 68 Kociołkowskie błoto  
72 Józef Ignacy Kraszewski,  
*Lasy poleskie*

## 78 RELIGIA

150. rocznica śmierci  
błogostawionych męczenników  
z Pratulina (24.I.1874)

## 82 Z LISTÓW CZYTELNIKÓW

Hokej w Baranowiczach

## BY PAMIĘTALI...



Foto Mieczysława Dobrzańskiego jest publikowane po raz pierwszy.

Podczas poszukiwania informacji o życiu garnizonu Twierdzy Brzeskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego rzadko kiedy udaje się odnaleźć fotografię ludzi, których nazwiska figurują w rozkazach dowództwa lub innych dokumentach archiwalnych. A szczególnie kiedy dotyczy to osób, które mieli na życie tego garnizonu wpływ decydujący, ciekawość ta jest

naturalna i uzasadniona. W przypadku Mieczysława Dobrzańskiego, naczelnika sztabu Okręgu Korpusu Nr IX w Brześciu – fortuna do mnie się uśmiechnęła.

Do słowa, każdy zainteresowany może sprawdzić informację o nim w Internecie: «Mieczysław Karol Dobrzański, ps. «Leliwa» (ur. 31 grudnia 1897 w Tarnowie, zm. 11 października 1943 w Auschwitz-Birkenau)

– podpułkownik dyplomowany piechoty Wojska Polskiego...» (pl.wikipedia.org). – Z wojskiem było związane całe życie Mieczysława Dobrzańskiego, a na stanowisko szefa sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu Nr IX do Brześcia został przeniesiony w marcu 1934 roku, po tym, jak prezydent RP nadał mu z dniem 1 stycznia 1934 roku stopień podpułkownika w korpusie oficerów piechoty.

Jak udało się ustalić, podczas służby w Brześciu Mieczysław Dobrzański dwa razy zwracał się do Starostwa z prośbą o wydanie mu paszportu zagranicznego w celu wyjazdu z rodziną na wypoczynek i kurację do Szwajcarii i Francji. Jednak po każdym wyjeździe paszport trzeba było do Starostwa zwrócić – i to właśnie w paszporcie zagranicznym Mieczysława Dobrzańskiego zachowało się jego zdjęcie w wojskowym mundurze!

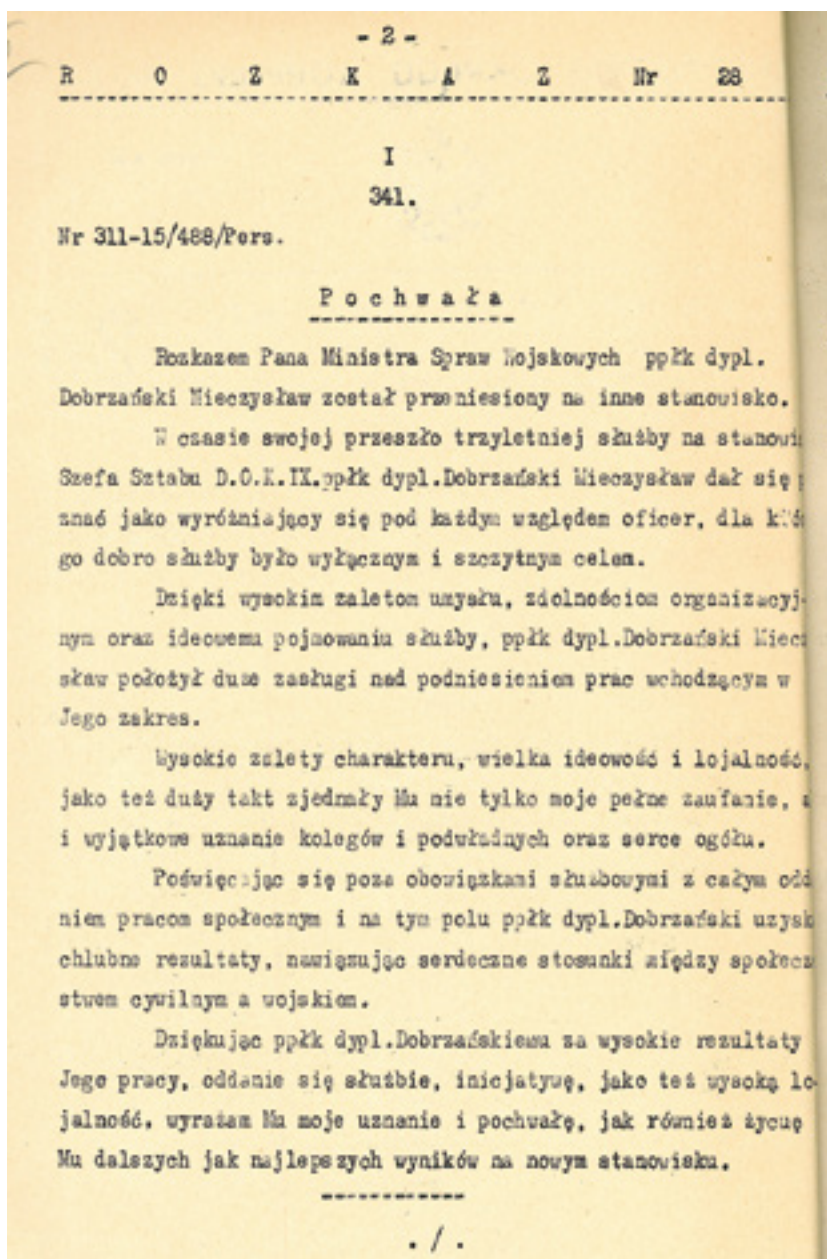
W Twierdzy Brzeskiej podpułkownik M. Dobrzański służył do 1938 roku, a następnie został mianowany dowódcą 6 pułku strzelców podhalańskich. Wśród rozkazów dowództwa Twierdzy udało się odnaleźć jeszcze jedną wspianą pamiątkę po nim – Pochwałę dowódcy za wzorową służbę z okazji nominacji na inne stanowisko, w której m.in są takie słowa:

« ... W czasie swojej przeszło trzyletniej służby na stanowisku Szefa Sztabu D.O.K.IX. ppłk dypl. Dobrzański Mieczysław dał się poznać jako wyróżniający się pod każdym względem oficer, dla którego dobro służby było wyłącznym i szczytnym celem.

Dzięki wysokim zaletom umysłu, zdolnościom organizacyjnym oraz ideowemu pojmowaniu służby, ppłk dypl. Dobrzański Mieczysław położył duże zasługi nad podniesieniem prac, wchodzącym w Jego zakres.

Wysokie zalety charakteru, wielka ideowość i lojalność, jako też duży takt zjednały Mu nie tylko moje pełne zaufanie, a i wyjątkowe uznanie kolegów i podwładnych oraz serca ogółu...».

Z początkiem II Wojny Światowej we



wrześniu 1939 roku podpułkownika Mieczysława Dobrzańskiego czekał ciężki i tragiczny los. Zginął z rąk hitlerowców 11 października 1943 w obozie Auschwitz-Birkenau. Swojej żołnierskiej przysiędze jednak pozostał wierny do końca. Teraz już mamy możliwość zobaczyć bohaterską postać tego odważnego oficera i wiernego syna swojej Ojczyzny.

IWAN CZAJCZYC, BRZEŚĆ  
TŁUM. RED.

## PREZENTACJA

# «Przewodnika po miejscach I wojny światowej na Pińszczyźnie»

**Pod koniec 2023 roku w Pińsku odbyła się prezentacja przygotowanego przez grupę pińskich entuzjastów «Przewodnika po miejscach I wojny światowej na Pińszczyźnie».**

Ziemia Pińska do dziś zachowała liczne pamiątki po krwawej I wojnie światowej. Przeważnie są to pozostałości fortyfikacji obronnych oraz rozsiane w terenie, uporządkowane w okresie dwudziestolecia międzywojennego przez Ministerstwo Robót Publicznych II RP, cmentarze wojskowe. Obfitość tych pamiątek związana jest z tym, że poczynając od końca 1915 roku linia frontu pomiędzy walczącymi stronami zatrzymała się m.in. w okolicach Pińska na kilka lat.

«Idea przygotowania takiego «Przewodnika» powstała prawie 10 lat temu, podczas obchodów 100-lecia początku I wojny światowej, – mówi Tatiana Chwagina, wiceprezes Białoruskiego Stowarzyszenia Przewodników Turystycznych, – wówczas, gdy jako wykładowca na Uniwersytecie Poleskim, oprowadzałam swoich studentów po najbardziej ważnych miejscach, związanych z tą wojną na naszej ziemi, zobaczyłam żywe zainteresowanie młodzieży. Odnalazłam sobie popleczników i powoli zaczęliśmy zbierać materiał. A naszym celem było, pomimo popularyzacji wiedzy i upamiętnienia tych wydarzeń, przygotowanie map turystycznych i ułatwienie dotarcia do tych miejsc wszystkim, kogo interesuje historia przebiegu I wojny światowej na Polesiu».



«Przewodnik po miejscach I wojny światowej na Pińszczyźnie» został opracowany przez Tatianę Chwaginą, wiceprezes Białoruskiego Stowarzyszenia Przewodników Turystycznych, Siergieja Płytkiewicza, dyrektora wydawnictwa «Ryftur» oraz Aleksandra Noworaja krajoznawcę i historyka z Pińska, dla którego upamiętnienie ofiar I wojny światowej stało się pasją całego życia. Archiwalne zdjęcia udostępnił również puszczanie Jarosław Borodzicz i Włodzimierz Bogdanow. Wydanie «Przewodnika» sfinansowała miejscowa władza wykonawcza.

RED.



## «Złoty dyplom» dla chóru «Kraj Rodzinny» z Baranowicz

na XI Międzynarodowym Festiwalu Kolęd i Pastorałek w Rzeszowie

27 stycznia 2024 r. na scenie Instytutu Muzyki – Uniwersytetu Rzeszowskiego odbył się XI Międzynarodowy Festiwal Kolęd i Pastorałek. Było to niezwykle bogactwo interpretacji całej gamy znanych i mniej znanych kolęd i pastorałek w wykonaniu dwudziestu sześciu uczestników konkursu chóralnego z Białorusi, Ukrainy i Polski oraz orkiestr i zespołów wokально-instrumentalnych.

Konkursowe prezentacje chóralne zespołów dziecięcych, młodzieżowych, akademickich i senioralnych z bardzo wysokim poziomem wykonywanych utworów oceniało jury w składzie: przewodniczący prof. dr hab. Dariusz Dyczewski z Akademii Sztuki w Szczecinie, prof. dr hab. Monika Mielko – Remiszewska z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz dr hab. prof. Uniwersytetu Rzeszowskiego Anna Marek

– Kamińska.

Prezentacja **Chóru «Kraj Rodzinny» z Baranowicz** (dyrygent Olga Zwiędzowa) nagrodzona została **I miejscem** w kategorii chórów dorosłych mieszanych w postaci **Złotego Dyplomu** z wysoką liczbą punktów – 92,3.

Trzydziesty czwarty rok chór «Kraj Rodzinny» z Baranowicz prezentuje swoją twórczość w kraju i za granicą. Swoim śpiewem uświetnia najważniejsze wydarzenia w rodzinnych Baranowiczach i obwodzie brzeskim. Jest także zespołem, stale goszczącym na uroczystościach religijnych, obchodzonych przez wspólnoty katolickie. W okresie świątecznym, w grudniu i 2023 r. i styczniu 2024 r. koncerty chóru «Kraj Rodzinny» odbyły się w kilkunastu kościołach Baranowicz i obwodu brzeskiego, a także w Polsce, w Kościele pw. Narodzenia NMP w Białej Podlaskiej. Posumowaniem tournée świątecznego chóru «Kraj Rodzinny» stał się »»»

## Z NASZEGO ŻYCIA



»»» koncert w Kościele pw. Najświętszej Marii Panny w Darewie, który się odbył 2 lutego, w Święto Matki Bożej Gromniczej.

W 34-letnim dorobku chóru «Kraj Rodzinny» jest udział w wielu konkursach i festiwalach. Do największych swoich osiągnięć chórzyci zaliczają zdobycie m.in.: Nagrody Głównej Festiwalu Pieśni Sakralnej «Łapskie Te Deum», Nagrody Specjalnej

TVP na Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie w 2006 roku, Złotego Medalu XIII Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie oraz Grand Prix XX Międzynarodowego Festiwalu Kolęd i Pastorałek im. księdza Kazimierza Szwarlika w Będzinie

RED.







# PRZEWODNIK PO CMENTARZU TRYSZYŃSKIEMU W BRZEŚCIU

**Pod koniec 2023 roku w Brześciu ukazała się książka Nikołaja Własiuka, znanego na Polesiu architekty, konserwatora zabytków i krajoznawcy, poświęcona jednej z najstarszych nekropolii Brześcia nad Bugiem – Cmentarzowi Tryszyńskiemu, który powstał przed 1900 rokiem na terenie dawnej osady Tryszyn (obecnie ul. Moskiewska). W 2016 roku Cmentarz Tryszyński został wniesiony do Państwowego rejestru zabytków RB.**

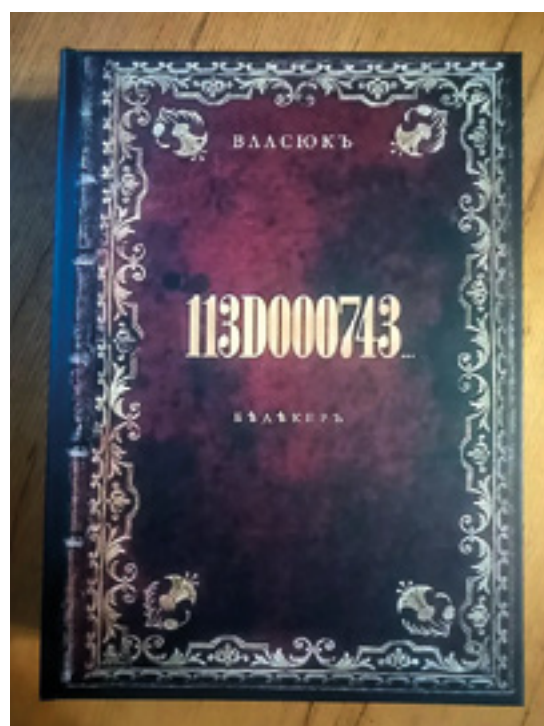
Generalnie treść książki «113D000743. Бедкеръ: краткий инвентаръ захоронений Тришинского некрополя г. Бреста на 2018 г.» (113D000743. Bederker... (Przewodnik – red.) zawiera inwentarz

nagrobków na cmentarzu Tryszyńskim oraz schemat lokalizacji i tablicę pochówków. Według zamysłu autora, w oparciu o te materiały nie tylko rodowitym brześcianom ułatwi to odnalezienie mogił swoich przodków. Jednak ta książka Nikołaja Własiuka zdecydowanie nie jest jedynie udokumentowaniem pochówków, gdyż w tej pracy, w życiorysie pochowanych w Tryszynie osób jak w zwierciadle odbija się historia Brześcia. Ponadto książka ta (ponad 800 stron) zawiera wiele unikatowych fotografii i ilustracji, dopełniona kolorowymi mapami oraz archiwalnymi dokumentami.

Niestety, nakład książki stanowi jedynie 63 egzemplarzy – na tyle mógł pozwolić sobie autor, gdyż wydał swój przewodnik po Tryszyńskiej nekropolii kosztem własnym. Oprócz jego kolegów-architektów, historyków i krajoznawców, książka trafiła także do wszystkim bibliotek brzeskich.

Należy dodać, że Nikołaj Własiuk jest autorem kilku książek o architekturze Twierdzy Brzeskiej oraz artykułów w kwartalniku «Echa Polesia»

OPR. RED.



## NADBUŻAŃSKIE «HOLENDRY»

– *naród* na Białorusi, po którym zostały jedynie nagrobki i kwiaty



**Każdej wiosny w lasach nad Bugiem rozkwitają narcyzy, ale to piękno może zobaczyć tylko ten, kto posiada przepustkę do strefy nadgranicznej. Te narcyzy na pierwszy rzut oka, to jedyna pamięć, którą pozostawili po sobie «Holendry» (w miejscowej gwarze «Galendry») – grupa etniczna, która zamieszkiwała okolice Brześcia ponad trzy stulecia.**

Kim byli ci «Holendry» (inaczej – «Olendry»), kiedy i skąd przyszli – tak naprawdę dokładnie nikt nie wie i już mało kto o nich pamięta. Według jednej wersji, to są Holendrzy, którzy w pierwszej połowie XVI wieku osiedlili się najpierw w Prusach i zostali zgermanizowani, a następnie z Prus, z okolic Olsztyna przyszli i osiedlili się nad Bugiem. Według innej wersji, to są Niemcy

(z j.niem. «haulander» – to człowiek, który wycina las pod pole), przemawiają za tym typowo niemieckie imiona i nazwiska «Galendrów» pod Brześciem: Lugwig, Gildebrandt, Wit, Baum, Otto.... Istnieje też jeszcze jedna wersja, że są to potomkowie Kaszubów, którzy przesiedlili się na wschód. Ale odpowiedź na to pytanie może dać chyba że analiza genetyczna i solidne badania etnologiczne.

Kim by nie byli i skąd by jednak nie przyszli ci niemieckojęzyczni przybysze – Holendry, osadzeni przez wojewodę bełskiego, hrabiego Rafała Leszczyńskiego w dolinie Bugu koło miasta Sławatycze 400 lat temu – założone przez nich w Rzeczypospolitej kolonie są dobrze znane: to są wsie Nejdorf i Nejbrow, położone na południu od Brześcia w okolicach Domaczewa. Według

XIX-wiecznej mapy Imperium Rosyjskiego wieś Nejdorf (130 domów) rozciągnęła się nad prawym brzegiem Bugu naprzeciwko i poniżej Słowatycz, nieco na południe od niej, w górę rzeki, położona była wieś Nejbrow (123 domy), natomiast na południe od Domaczewa widnieje także mała, licząca jedynie 6 domów, wioseczka Lipińskie Galendry. Obecnie w miejscu tych wsi są pola i łąki, a wszystko co po nich pozostało – to kilka kamiennych nagrobków.

«Holendry» byli luteranami i gdy osiedlili się nad Bugiem, utworzyli własną parafię. W 1617 roku w Nejdorfie wybudowali kościół, którą w następnym roku zniszczyli zbuntowani Kozacy, zabijając przy okazji 70-ciu kolonistów za odmowę przyjęcia prawosławia. Po tym wydarzeniu w Nejdorfie pozostawała tylko kaplica. Nową kościół ufundował Karol Radziwiłł, która została konsekrowana 15.11.1778 r. Obecnie po niej został dzwon i dwa żyrandole, które znajdują się w domaczewskiej cerkwi pw. Św. Łukasza. Według spisu ludności Rosyjskiego Imperium z 1897 roku, Holendry, którzy zamieszkiwali wtedy już 9 wsi w okolicach Brześcia, rozmawiali już na «małoruskiej», to. znaczy ukraińskiej mowie. Naliczono ich wówczas 858 mężczyzn i 834 kobiet wyznania luteranckiego. Według stanu na 1911 r. luterancka parafia w Nejdorfie liczyła już 4000 osób. Część kolonistów wcześniej przeszła na katolicyzm i wybudowała kaplicę w Domaczewie. Podobnie więc, Holendry, jak i osiadłsze na Białorusi Tatarzy, zachowali swoją wiarę, lecz przejęli mowę miejscowej ludności.

Nadbużańskie Holendry byli wyspecjalizowani w melioracji, budowali drogi, kolej żelazną i wojskowe fortyfikacje, słynęli także z umiejętności wyrobu znakomitych serów żółtych. Istnieje też wersja, że przybyli tu na zaproszenie królowej Bony, – właśnie dla wykonania systemów melioracyjnych, gdyż naród ten umiał sobie radzić z zagospodarowaniem terenów bagnistych, budować kanały, mosty i groble. – Jak »»»



Kircha w Nejdorfie. Początek XX w.



Orkiestra parafialna

Most przez Bug w okolicach Domaczewa-Słowatycz. 1932 r.





»»»» pisał Antoni Chorąży, potomek Holendrów:

*«Olędrzy mają znane sobie sposoby na pozyskanie nadmorskich lub nadrzecznych nizin dla rolnictwa, a zwłaszcza hodowli.*

*Tam, gdzie wymaga to większych inwestycji budują wały, groble, kanały i*



*zabezpieczają je przez nasadzanie rosochatych wierzb i szybko rosnących topoli. Uzupełnieniem systemu odwadniania i nawadniania są śluzy, zapory, zwodzone mosty, wiatraki i inne mniej lub bardziej przydatne rozwiązania, które można podziwiać do dziś, zwłaszcza na Żuławach... .*

*Mój naród nie walczył z żywiołem, z powodziami, lecz nauczył się dostosować i żyć w takich warunkach. Panuje jedna ważna zasada, wszystko co może porwać woda – należy unieść do góry. Strychy rządowych domów są tak budowane, że stanowią miejsce schronienia dla ludzi i drobnej zwierzyny. Inwentarz, bydło i konie, na czas powodzi umieszcza się na specjalnych rusztowaniach wykonanych z grubych wierzbowych konarów i wyściela słomą.*

*Do przemieszczania się w obrębie innych budynków, sąsiada, kościoła, szkoły lub urzędu służą łodzie zmontowane z desek lub czółna wykonane przez drążenie w pniu grubego drzewa. Pleciony płoty przepuszczają natomiast muł rzeczny obficie użyźniający łągi. Klęska powodzi nie jest więc tu postrzegana jako kataklizm, tak jak to widzą mieszkańcy sąsiednich wsi.*

*To życie w symbiozie człowieka z naturą, choć co kilkadziesiąt lat zdarza się porwanie przez wodę części dobytku i całych zabudowań. U olędrów jest to jednak normą w kalkulowaną w ich odwieczną tradycję.».*

Zwykle po zimie i roztopach wiosennych, jak co roku męska część małorolnych mieszkańców udawała się w podróż na pracę zarobkową, – i gdzie by nie była budowa nowych fortów, dróg, czy kolei żelaznej, napotkać można było wysoką rudowłosą postać «Galendra» z okolic Brześcia. Pracowali oni i w Petersburgu, i na Syberii, i w Europie.

Nadbużańskie Holendry zajmowali się własną gospodarką i byli przywiązani do wiary swoich ojców, wyznaczając się pracowitością i spokojnym usposobieniem. Żyli w dostatku, w czasach II Rzeczypospolitej mieli nawet własną spółdzielnię mleczarską. Jedyne konflikty z miejscową

władzą, który powstał na tle religijnym, odnotowano w lutym 1928 roku, kiedy to nejdorfski pastor ogłosił strajk uczniów przeciw niewłaściwego ich wychowania, gdyż większość uczniów w domaczewskiej szkole była wyznania luterńskiego, nauczyciele natomiast byli katolikami. Po dwóch latach od tego wydarzenia Nejdorf i Nejbrow przemianowano stosownie na Mościce Dolne i Mościce Górne.

Oto jak charakteryzował Holendrów i opisywał ich byt mieszkaniec Domaczewa Michał Krywiecki w artykule, opublikowanym w gazecie «Sielskij Wiestnik» w 1898 roku (artykuł ten odnalazł i w 2019 roku przedrukował w Kurierze Brzeskim jego redaktor Nikołaj Aleksandrow – red.):

«...Dwie trzecie kolonistów byli luteranami, a jedna trzecia – katolikami, pomiędzy nimi było kilka rodzin prawosławnych. Luteranie mają własną parafię i pastora, katolicy – kaplicę w Domaczewie. Osady kolonistów porozrzucane są na długości ok. 8 km po obu stronach Bugu. Każda osada jest ogrodzona dookoła i stanowi osobny chutor. Początkowo kolonia została utworzona przez 12 rodzin, którzy przybyli tutaj 400 lat temu z Holandii na zaproszenie litewskiego wielmoży Radziwiłła. To właśnie on ich tutaj nad Bugiem osadził, a teren ten był otoczony wówczas nieprzebytymi lasami. Dawniej koloniści korzystali z wielu ulg i przywilejów, i jeszcze do 1890 roku sami sobie wybierali wójta. ...

Ziemia ich – to przeważnie łąki, sady i ogrody. Ziemi ornej nie jest dużo, jednak jest bardzo urodliwa i uprawia się bardzo starannie sprzętem lepszym, niż u miejscowych chłopów – pługami i bronami z żelaza. Zasiw robią ulepszonymi gatunkami nasion, a w sadach hodują dobre gatunki śliwek, grusz i jabłoń, maliny, porzeczek a nawet truskawki i winogrona. Ziemia jest dosyć droga, jeden morg kosztuje do 300 rubli. Gospodarz który posiada 10 morgów ziemi uważa się za bogatego, większość jednak ma od jednego do trzech morgów ziemi. Z bydła trzymają



«Holendry» podczas żniwa

przeważnie krowy, a wołów nie trzymają. Z przetworu mleka na sery i masło mają dobry dochód.

Tylko nieznaczna część bogatszych kolonistów w całości utrzymuje się z własnej ziemi. Reszta zaś żyje przeważnie z ubocznych zarobków. Zajmują się przeważnie cieślarnictwem oraz robotami ziemnymi, pracując przy budowie dróg, mostów, koszar i budynków kolejowych. Wykonawcy robót zatrudniają ich bardzo chętnie, gdyż są sumienni, pracowici i bystrego umysłu; ponadto nie odstrasza ich odległość do miejsc pracy, – kilkadziesiąt ich od trzech już lat są zatrudnieni na Syberyjskiej kolei żelaznej. Za jeden sezon koloniści zarabiają od 70 do 100 rubli na jednego konia, »»»

Podczas spotkania z prezydentem II RP I. Mościckim





Mieszkańcy Nejdorfa-Nejbrowa podczas wystawy rolniczej w Domaczewie. 1928 r.

»»» a zważywszy że niejeden ma parę lub nawet dwie pary koni – do domu wracają z dobrym zarobkiem. Żyją więc w dobrym dostatku, a biedoty wśród nich prawie że nie ma, nie licząc kilku wyjątków, a i ci są nałogowymi opojami.

*Domy kolonistów są obszerne i wysokie,*

*z dużymi oknami, dobrze umeblowane i z obowiązkowym zegarem. Każdy dom otoczony jest sadem i ogrodem z kwiatami. Więc szczególnie na wiosnę i latem każdy taki dom wygląda bardzo imponująco.*

*U siebie w domu koloniści posługują się gwarą miejscową. Pozostało zaledźwie kilka starców, co umieją mówić po niemiecku. Ale prawie wszyscy mężczyźni, jak i w większości kobiety umieją czytać i pisać, w każdym domu jest Biblia. Jeszcze zanim oddadzą swoich dzieci do nauki, uczą sami ich w domu, niestety, po polsku, gdyż w ich cerkwi luterńskiej liturgia odbywa się w j. polskim. Znają mimo to i j. rosyjski.*

*... Charakteryzując kolonistów warto zaznaczyć, że są skłonni i gotowi, by podtrzymać każde nowe pożyteczne przedsięwzięcie, i kiedy zjawiał się pomysł, by w Domaczewie otworzyć Poczta, – koloniści jako pierwsi wpłacili na ten cel każdy stosowną kwotę pieniężną.*

*Nie są też skłonni do pijaństwa i w swojej kolonii nie mają nawet karczmy, lecz mają jedną wspólną wadę – ochotę bez sensu w nieskończoność procesować w sądach i toczyć spory w innych urzędach ...»*



Wesele w kolonii Nejdorf. 1935 r.



475. Hochzeit des Georg Selend in der Kolonie Neudorf 25.11.1935

W 1939 roku życie mieszkańców Nejdorfa i Nejbrowa – Mościc Dolnych i Mościc Górnych zmieniło się kardynalnie. 28 września 1939 roku Niemcy i Związek Radziecki ustalili po Bugu linię demarkacyjną i mieszkańcom tych wsi wzbroniono przekraczać na drugi brzeg rzeki, – nawet tym, u kogo ziemia okazała się na drugiej stronie. Jak wspomina Antoni Chorąży, – «możliwości pozostać na własnej ojcowiznie nas pozbawiono: wybierać można było tylko pomiędzy kierunkiem wschodnim – Syberią, a zachodnim – Wielkopolską». Kilka rodzin wybrało wschód, kilka się ukryła by przeczekać wojnę w pobliżu swoich wsi, większość natomiast na początku 1940 roku przez Słowatycze i Terespol wyjechała do Poznania, gdzie wielu z nich później wcielono do niemieckiego wojska. Ci zaś, którzy pozostali po stronie radzieckiej, na początku 1941 roku zostali

przesiedleni do Domaczewa, a już resztki ich w 1945 – ponownie przesiedlono na lewą stronę Bugu, do Polski.

Jak się okazuje jednak, do naszych czasów potomkowie nadbużańskich Holendrów przetrwali i żyją w zwartych skupiskach na ... Syberii! – Otóż na początku XX wieku podczas stołypińskiej reformy rolnej trzech dzielnych Holendrów z pod Brześcia udali się na Syberię i odnaleźli tam dogodne miejsce do osiedlenia się, po czym zabrali tam swoje rodziny. W ślad za pierwszymi presiedleńcami, przed I wojną światową do Syberii wyjechało jeszcze 36 rodzin (a wówczas te rodziny były liczne), które z czasem założyły trzy nowe osady: Zamosteczko, Nowinę i Dahny (za czasów radzieckich przemianowane na Pichcinsk, Średniopichcinsk oraz Dagnik). Nowymi sąsiadami Holendrów stali się Tatarzy, Czuwasze oraz Rosjanie-starobrzędowcy. Nowo przybyłych postrzegano jako Niemców, choć ci i nazywali siebie «Holendrami» czy «Olendrami». Wkrótce jednak i to określenie przez władzę radziecką zostało wymazane, jak też zdeptano protestanckie tradycje i obrzędy. Wylimitowano nawet po niemiecku brzmiące imiona i nazwiska, bowiem w lata 30-te pichcińskie Holendry przeżyli terror stalinowski, a podczas wojny – «obozy pracy». «We wsiach NKWD pozostawiło tylko starców i dzieci, – wspomina starsza mieszkanka Pichcińska, – śledzono za tymi, kto pozostał, czekając czy przypadkiem ktoś nie zacznie mówić po niemiecku. A my przecież żadnego słowa nie znaliśmy, bo rozmawialiśmy tylko po ukraińsku». Narodowość przesiedleńców do dokumentów wpisywano ukraińską, według używanej potocznie mowy.

Obecnie w trzech wsiach w rejonie Zolaryńskim w obwodzie Irkuckim mieszka ok. 2000 potomków nadbużańskich Holendrów. Zachowali swoją wiarę luterańską, czas od czasu odwiedza ich dojeżdżający z Irkucka pastor. Większość jednak obrzędów religijnych dokonują sami. Mają dwa



Obelisk pamiątkowy na cmentarzu. 2019 r.

własne muzea.. Biblię czytają w języku polskim, natomiast pomiędzy sobą rozmawiają jak dawniej «po swojemu». Byt i kultura pichcińskich Holendrów obecnie stanowi jedyne źródło badań życia ich przodków nad Bugiem, a dla Rosjan jest egzotyką.

W 2017 roku potomkowie nadbużańskich Holendrów z Syberii oraz z Niemiec urządzili sobie sentymentalną podróż wzdłuż Bugu. Oglądając podczas przyjęć występy miejscowych zespołów folklorystycznych i słuchając ich piosenek byli nieco zaskoczeni, że tutaj pamiętają jeszcze ich «holenderskie pieśni»: «Czorni oczka, jak teren», «Tam za gajem, gajem», «U susida chata była», «Koło młynu, koło brodu»... Jak że była dawniej bogata nasza kultura! I jak różne narody żyli szczęśliwie i w zgodzie na ziemi poleskiej.

OPR. RED.

Źródło: <https://neubrow.domachevo.com>

# «Pińskie Polesie. Podróż w Czasie»

– nowa książka o historii Pińska



W ubiegłym roku w Pińsku w wydawnictwie «Riftur» okazała się nowa książka o Pińsku, Polesiu, Poleszukach, o wybitnych postaciach, z Polesiem związanych. Jest to zachwycająca podróż do Pińska XIX-XX stuleci. Autorem książki jest Tatiana Chwagina, znana autor, wieloletni przewodnik, krajoznawca, encyklopedia historii i kultury Pińska i Polesia. Redaktorem, wydawcą i autorem wielu zdjęć, które są szczególnym atutem książki, jest Sergiej Płytkiewicz – wybitny fotografik, autor ponad 200 fotoalbumów, twórca najlepszych stron o przyrodzie Białorusi [wildlife.by](http://wildlife.by), [planetabelarus.by](http://planetabelarus.by). Unikatowe materiały i fotografie udostępnili autorce znani krajoznawcy i kolekcjonerzy Aleksander Noworaj i Włodzimierz Bogdanow, co istotnie wzbogaciło książkę. Nakład książki – 700 egz.

«Przemknęły epoki, zmieniając wygląd miasta, które wbrew wszystkiemu nie utraciło swojej wyjątkowej atrakcyjności, swojego znaczenia «stolicy Polesia». Zmieniło się nie jedno pokolenie, ale miłość do rodzimego miasta mieszkańców Pińska jest niezmienna, zawsze pozostaje głównym spoiwem, sednem osobowości mieszkańców.» – powiedziała Tatiana Chwagina podczas jednej z prezentacji książki w Pińsku. We wstępie do książki «Pińskie Polesie. Podróż w czasie» czytamy:







O Pińsku na przestrzeni jego długiej, trudnej historii, która liczy ponad dziewięć wieków, wiele zostało powiedziane i napisane. Opowiadają o nim kroniki, piszą biografowie królów, jego wyjątkowość podkreślają podróżnicy i etnografowie, a dla pisarzy i poetów Pińsk jest niewyczerpanym źródłem inspiracji... Zresztą nie tylko Pińsk, ale i całe Polesie – tajemnicza i czarująca kraina, przecinana prądem Prypeci i jej licznych dopływów, kraina, gdzie wśród bezgranicznych dopływów i bagien mieszkają w jedno z przyrodą Poleszycy, którzy są rdzennymi mieszkańcami tych miejsc.

Polesie to obszar rozległy i niejednorodny, jego populacja dzieli się na różne grupy lokalne, które różnią się specyfiką języka, ubioru, charakteru otoczenia i zwyczajów oraz nazywają siebie pińczukami, podgorodcami, zarczukami itp. w zależności od miejsca osiedlenia względem Pińska i dorzecza Prypeci i jej dopływów...

Jeśli połączyć wszystko, co zostało

powiedziane i napisane o Pińsku, Polesiu i Poleszuchach – wyjdzie nie jedna książka... Ta skromna publikacja jest tylko pierwszą «jaskółką», która pozwoli czytelnikom spojrzeć na stolicę Polesia i rdzennych mieszkańców tej szczególnej krainy oczami znanych ludzi: A. G. Kirkora, J. I. Kraszewskiego, N. S. Leskowa, P. M. Szpilewskiego, H. Weizmana, G. Meira, D. G. Bułhaka, I. A. Serbowa, A. A. Bloka, L. N. Wojtołowskiego, W. Torniusa, J. Kolasa, L. A. Bojda, R. Kapuścińskiego, K. Świątka i B. S. Korotkiewicza. To co zostało opowiedziane przez nich w pracach naukowych, artystycznych i publicystycznych, pamiętnikach, dziennikach, wspomnieniach i listach jest realną okazją podróży w czasie i możliwością, żeby zajrzeć do Pińska i pińskiego Polesia XIX-XX w.!»

Książkę można zamówić w wydawnictwie «Riftur» albo kupić w księgarniach «Bielkniha» («Белкнига»)

RED.

FOTO SERGIEJ PŁYTKIEWICZ



## POLESIE PIŃSKIE NA STRONACH *«Malowniczej Rosji»*

Pod koniec XIX wieku w druku ukazała się wielotomowa praca «Malownicza Rosja» pod redakcją wiceprzewodniczącego Imperatora Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego P. P. Siemionowa i do jego stworzenia zatrudniono ponad 400 autorów. Na stronach trzeciego tomu (1882 r.) przedstawiony został obraz białoruskiego Polesia, wyłaniający się spod pióra literata i badacza białoruskich starożytności Adama Honoriusza Kirkora (1818-1886) – obraz, w którym połączone zostały fakty historyczne i naukowe, legendy i ciekawe obserwacje.

«...Dolina Prypeci, to Morze Herodota. Dla przyrodnika, nawet dla poety, znajdzie się tu taka obfitość przedmiotów do badań, obserwacji, których nie można spotkać w

innych miejscach. Stanowiąc najbardziej bagnistą część prawie w całej Rosji, dolina Prypeci zmienia swój wygląd... Zrodzona z rzek, rzeczek, strumieni, rozlewów, strumieni, usiana jeziorami, jeziorkami, brodami,... nieprzejezdnymi bagnami, ona wiosną i teraz podobna jest do morza, a prawie jedna trzecia jej część zalana jest wodą.

... wśród gęstych lasów i nieprzejezdnym bagien żyje około pół miliona tzw.





Poleszuków, kilka miesięcy w roku i tylko na czółnach, czasem z zagrożeniem życia, komunikujących się ze swoimi najbliższymi sąsiadami ... Ci pińczucy i Poleszucy to autochtoni tego kraju. Życie tych ludzi, skazane jest na wieczną walkę z naturą, ... wypracowało szczególne cechy, poglądy, pojęcia, wypracowało bez żadnego zewnętrznego wpływu nauki, szkoły, nawet żywego słowa... nie może on często odwiedzać nie tylko miasta i miasteczka, ale nawet sąsiednie wsie...

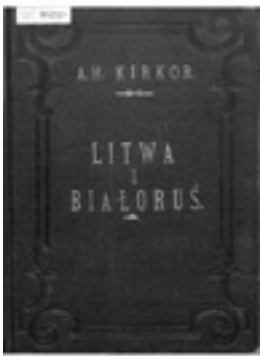
Sama natura podpowiedziała

Poleszukowi drogę do jego niestrudzonej działalności, uczyniła go rolnikiem, pastierzem, myśliwym, wędkarzem. Zapewniła mu różnego rodzaju środki do przezwyciężenia trudności ... Osadźcie na brzegach

Prypeci z innych krajów chłopca – to przepadnie. Poleszuk jest konserwatystą z zasady. On jest dzieckiem swojej przyrody, wierny przymierzom swoich przodków...

Zarówno w życiu i środowisku domowym, tak i tego, co dotyczy stroju, Poleszuk jest również konserwatywny. Oprócz czapki, a na święto butów, jego ubranie »»»»





»»» jest domowej roboty, a używa lnu, konopii, wełny, skóry owczej, łyka. Dla świty zimą kozuch był głównym ubiorem Poleszuka. Żadnych specjalnych pomysłów on nie ma. Wszyscy noszą czerwone pasy domowej roboty. Latem na głowie kapelusz z owczej wełny, zimą czapka z szarych baranków. Z lewej strony wisi szabeta (red. torebka)... z pieniędzmi, krzemieniem ... i składany nóż. Na nogach łapcie z białymi owijaczami wiązany do kolan paskami lub zwykłą dratwą... rzepami lub zwykłymi sznurkami ... Poleszucy byli zdrowi, mocni i długo żyli. Stuletni starzec lub stara kobieta tutaj nie jest rzadkością. Pod względem moralnym mieszkańcy pińskiego Polesia przewyższają swoich sąsiadów.

... rozboje, grabieże, podpalenia, świętokradztwa, nie wiem, jak teraz, ale jeszcze w ostatnim czasie były zupełnie nieznanymi. Kradzież zdarza się, ale bardzo rzadko. Pobożność wśród ludności w Pińsku jest bardzo silna, ale mimo to chrześcijańska obrzędowość jest tu do tego stopnia mylna ze starożytną, że ludzie nie potrafią



odróżnić jednego od drugiego. Nie będziemy dziwić się, że Poleszucy, ten wciąż



młody naród, wierzy w czarowników, czarodziejów...»

A. G. Kirkor twierdzi, że nie każdy mieszkaniec okolicznych wiosek, w ciągu swojego życia choć raz był w Pińsku – w tamtym czasie w ujezdnym mieście guberni mińskiej – i to prawda... Oddając hołd chwalebnej przeszłości Pińska, doceniając jego współczesne znaczenie handlowe, A. G. Kirkor przepowiedział miastu wielką przyszłość: «Pińsk nad rzeką Piną, która łącząc się w pobliżu z rzeką Strumenem, tworzy słynną rzekę Prypeć... należy do najstarszych osad słowiańskich. Wspomina o nim Nestor pierwszy raz w roku 1097; ale niewątpliwie jest to, że Pińsk wraz z Turowem, z którym losy jego są ściśle związane, nie tylko istniał, ale był centralnym punktem rozległej ojcowizny...

... znaczenie Pińska pod względem handlowym jest bardzo ważne... Pińsk teraz służy jako centralny punkt działalności handlowej, połączony przez Pinę z bogatymi guberniami nad Dnieprem, z kanałem Dniepr Bug – z Prusami i Królestwem



Polskim, i kanałem Ogińskim – z guberniami prynemańskimi. Do Pińska dostarczany jest różnego rodzaju chleb, przeznaczony dla zagranicznego eksportu przez porty bałtyckie, a także krymska sól, słonina, konopie, len, tytoń, wełna owcza, surowa skóra, nitowanie i wiele innych produktów... Wraz z osuszaniem bagien pińskich, z oczekiwanym przejazdem linii kolejowej z Brześcia Litewskiego do Pińska, przyszłość miasta będzie najwspanialsza».

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM. RED.

# Nikołaj Leskow i Polesie

## *Z dziennika podróży «Wędrowca urzeczzonego»*



Rosyjski pisarz, etnograf i publicysta **Nikołaj Siemionowicz Leskow (1831-1895)**, przybył do Pińska w 1862 r. na zlecenie redakcji petersburskiej gazety literacko-politycznej «*Północna Pszczoła*». Jego dziennik podróży, adresowany do czytelników gazety, utrwalił w Pińsku wiele z tego, co nie dotarło do naszych czasów. N. Leskow przyznaje, że pierwszy obraz o Pińsku otrzymał, czytając wiersz J. I. Kraszewskiego «*Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*», wydane w Paryżu, któremu daje następującą ocenę: «*Nie stanowi badania czysto naukowego, nawet w nim jest mało informacji archeologicznych,*

*historycznych i statystycznych, ale bardzo wiernie zapoznaje z charakterem krainy i, ze względu na lekkość jego prezentacji, nie męczy kapryśnej uwagi słowiańskiego plemienia, przyzwyczajonego do literatury ostatnich lat, tylko do wszystkiego... lekkiego*».

Nie obyło się bez porównań, inaczej rosyjskim czytelnikom trudniej byłoby wyobrazić sobie stolicę Polesia. N. Leskow pisze: «*Jednakże Pińsk nie jest podobny ani na Jelca, ani do Rybińska, ani do Sierpuchowa, ani do Berdyczowa ... On jest po prostu «jedyne w swoim rodzaju».* Nie śpiesząc się potwierdzać, jak wielkie jest prawo Pińska do nazywania siebie «*litewskim Liverpoolem*», jak inni go nazywają, można powiedzieć, że jest niewątpliwie jednym z ważniejszych punktów litewskiej krainy (tak w XIX wieku nazywano zachodnią i centralną część terytorium byłego WKL, gdzie w tym czasie znajdowała się mińska gubernia). *Znaczenie jego (Pińska) jest wielkie ... Wydaje mi się, że Pińsk jest raczej litewską Moskwą niż Liverpoolem... Mieszkańcy Pińska są nie mniej ciekawi niż sam Pińsk. Aczkolwiek, oni są właśnie dla siebie stworzeni: i Pińsk bez pińczuków, i pińczuci bez Pińska po prostu, wydaje się, nawet nie do pomyślenia... Pińczuk – prostak nie chce, aby był uważany za Małorosa, Litwina lub Polaka...*»

Konsultantami, przewodnikami i tłumaczami pisarza byli, według jego własnych słów, tutejszy mieszkaniec K. Kiniewicz i Żyd – kupiec Meer Mowsza Lewin. Znajomość

N. Leszkowa z Pińskiem zaczęła się od prawosławnego klasztoru panieńskiego: *«Cerkiew i budynki mieszkalne tego klasztoru należały do mnichów katolickich zakonu Bernardynów. Odebrany od Bernardynów klasztor długo pozostawał pusty i służył jako magazyn na zapasy chleba; potem, gdy drewniany klasztor został odebrany od siostr Bazylianek, popadł w ruinę, żyjący w nim prawosławni mnisi zostali przeniesieni do dawnego klasztoru Bernardynów, który od tego czasu stał się znany jako Monaster św. Barbary w Pińsku. W ogrodzeniu tego klasztoru znajduje się piękna cerkiew w stylu zachodnim, duża kamienna obudowa, w której wykończona jest tylko jedna niewielka część i duże drewniane skrzydło budynku».*

Osobliwością wnętrza kościoła Bernardynów pierwotnie były malowidła ścian i sklepień. Za pomocą techniki grisaille na ścianach świątyni były przedstawione ołtarze boczne, patrząc na nie pojawiał się efekt optyczny – namalowane detale architektoniczne wydawały się obszerne, realne. N. Leskowowi udało się zobaczyć tylko kilka fragmentów tego malowidła, zniszczonych przez wilgotność: *«... freski zachowały się tylko po prawej stronie, nad oknem, w ołtarzu nad podwyższonym miejscem. Ostatni obraz al fresco, przedstawiający Michała Archanioła, pokonującego szatana, zachował się w bardzo dobrym stanie. Reszta jest gęsto wybielana kredą».*

Pisarz zapytał matkę opata: *«Dlaczego ty, Matko, wybieliłaś fresk?»*

Następnie nastąpił krótki dialog:

– Jak można było nie wybielać? Wszystko było starte, porysowane, było brzydkie.

– Dlaczego tak było zniszczone?

– Prowiant tu ... nasypali; no, wilgoć z niego szła, kurz, łopatami drapali.

– Obrazy były bardzo zniszczone?

– Całkowicie zniszczone, trzeba było wybielić...

Podczas korzystania z dawnego kościoła Bernardynów jako magazynu dla zapasów chleba, zniknął z jego wnętrza cenny fresk grisaille. Znacznie więcej pozytywności



wzbudził obecny kościół Franciszkanów: *«Sama cerkiew zniszczonego klasztoru Franciszkanów jest bardzo piękna z zewnątrz i ma wiele zabytkowych rzeczy wewnątrz. Wśród tych rzeczy jest portret olejny królowej Bony i jej męża Zygmunta I, portrety pierwszych fundatorów (założycieli) klasztoru i obraz przedstawiający mnicha, który chrzci człowieka chorującego na porfirię.*

*Nad obrazem znajduje się niezwykła ambona do kazań, zrobiona z ciemnego drewna. Jest kilka pięknych obrazów. Drewniane postacie aniołów są niezłe. Ogromne i przepiękne organy są sprawne tylko w połowie, bo druga połowa jest zepsuta, a naprawa wymaga znacznej kwoty, której nie ma gdzie wziąć biedny kościół. Korytarz wzdłuż całego klasztorowego tajnego korpusu namalowany jest obrazami przedstawiającymi różne cuda. Malowidła te przypominają obraz wędrowki św. Teodory, namalowany na ścianie przy wyjściu z pobliskich jaskiń Ławry Peczerskiej w Kijowie. Kościół Franciszkanów jest doskonale utrzymywany, a wszystkie znajdujące się w nim rzeczy przechowywane są troskliwie i z szacunkiem, na które pomniki przeszłości mają niezbywalne prawo w oczach wszystkich narodów europejskich».*

Do czasu wizyty N. Leskowa w Pińsku wszystkie katolickie klasztory zostały »»»

Kościół i klasztor Jezuitów od wschodu. Fot. 3.-4. ćw. XIX w. Biblioteka Naukowa Księży Jezuitów w Krakowie, zbiory ks. L. Grzebienia.



»»»» zniszone, mnisi usunięci z miasta, gdzieś panowało spustoszenie, a inne zostały przekazane cerkwi prawosławnej, jak na przykład, dawny klasztor Jezuitów. Autor «Wędrowca urzeczzonego» i «Leworęcznego» pisze: «Klasztor księży Jezuitów, zmieniony obecnie na katedrę prawosławną, jest niezwykle piękny. Był budowany jeszcze za czasów Wiśniowieckich, którzy byli uczestnikami w założeniu kapitału tego budynku. (Właściwie prymat w tworzeniu wielkiego kościoła Jezuitów należy do starosty wileńskiego i pińskiego, kanclerza WKL Albrechta Radziwiłła, ale także do hetmana M. Wiśniowieckiego, najprawdopodobniej, zwróciła na siebie uwagę ta świątynia, w krypcie której Katarzyna Wiśniowiecka modliła się o uratowanie męża Andrzeja Boboli). *Jeśli patrzeć na Pińsk przez rzekę Pinę, to ta świątynia i dom Skirmunta jakby panują nad drewnianym miastem, zabudowanym po przeżyciu przez niego «nieszczęść» bez smaku i bez planu. Wewnątrz katedry nie mogliśmy znaleźć nic niezwykłego poza dwoma niewybielonymi freskami; wszystkie pozostałe zostały wybielone. W domu jezuickim mieści się bursa, w której chociaż i jest wiele wspaniałości, ale wszystkie wspaniałości podobnej placówki opisane już były szczegółowo...»*

Pisarz miał okazję być świadkiem przebudowy byłego kościoła Dominikanów, którego w Pińsku nazywano «kościołem

Pustowskiego», w cerkiew prawosławną Sobór Fiodorowski. «*Kościół Dominikanów, również zlikwidowany obecnie, wykańczony jest dla cerkwi prawosławnej. Zburzono z niego kolumnadę i wybito plafon do budowy dzwonnicy. I mówi się, że było ładne malowidło, ale teraz i nie ma po nim śladów, bo po zniszczeniu kościoła Dominikanów około siedmiu lat temu został on przekazany Żydowi Arenborgowi na magazyn wełny. W celach Dominikanów mieszka teraz dwóch kapłanów prawosławnych i mieści się tu apteka miejska».*

Pisarz wyjaśnił również, że kościół komunistów (księży świeckich przebywających w komunie), również zniszono. Ale dostać się do niego nie udało się, jednak poznał siostrę Celinę, – «młodą osobę w czarnej sukience z białym fartuchem» – która zajmowała się pracą na terenie sierocińca i wywarła przyjemne wrażenie jako człowiek, który poświęcił swoje życie na wychowaniu sierot. Kościół komunistów, konsekrowany na cześć Karola Baromeusza, został przebudowany w kamieniu w latach 1770-1782. Po zamknięciu rozważano kwestię przekazania go luteranickiemu zborowi dla kupców luteranickich z Niemiec i krajów bałtyckich, często odwiedzających Pińsk.

Karolin, gdzie były klasztory Bernardynów i księży komunistów, kiedyś był osobną miejscowością i miał własny zamek, ale gość z Petersburga miał okazję zobaczyć





Międzywojenne zdjęcie Kolegium



Panorama Pińska z Kościołem Św. Stanisława

i docenić tylko jego ruiny. *«W pobliżu kościoła komunistów zaczynają się pozostałości zniszczonego przez Karola XII zamku ksiąg Wiśniowieckich. Na żydowskich podwórkach, na ulicy Magazynowej, ocalały mury wieży zamkowej, a na ulicach, to tam to siam, widoczne są otwory wentylacyjne zasypanych podziemnych krypt; miejscami widoczne są wierzchołki łuków, pod którymi zaczynają się ogromne stare lochy ... Wymiary pozostałych śladów wieży zamkowej, co na żydowskich podwórkach ulicy Magazynowej, i ślady zabudowań, należących do tego samego zamku, na innych ulicach miasta, aż do samego Albrechtowa, świadczą o kolosalnej wielkości budynku, który został zniszczony (przez Karola XII)».*

Nieco wcześniej ruiny te naszkicował powróciwszy z emigracji artysta Napoleon Orda. Ślady zamku były widoczne już w połowie XX wieku, ale do naszych czasów nie zachowały się.

Pisarz zastał przebieg prac na ruinach pińskiego ratusza, który dawniej symbolizował prawo magdeburskie nadane Pińskowi w 1581 r. przez króla Stefana Batorego i był miejscem obrad magistratu – organu wybieranego spośród szanowanych obywateli. Prawo magdeburskie istniało do przyłączenia byłego terytorium WKL do Imperium Rosyjskiego, po czym wiele ratuszy zostało zburzonych. N. Leskow pisze: *«Teraz rozbijają ocalałe mury starego ratusza na*

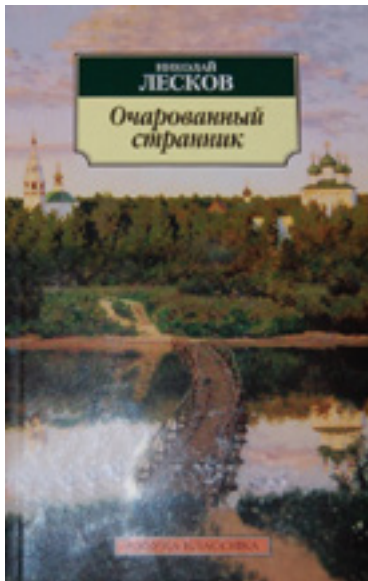
*budowę kamiennej fortecy, ale wydobycie cegieł ułożonych na starym cemencie, mówi się, jest bardzo trudne. Byłem w ruinach tego ratusza...»*

Być może korespondent «Północnej Pszczoły» jest jedynym ze znanych gości, który powiadomił o wizycie w drewnianej cerkwi monasteru Leszczyńskiego: *«Cerkiew w Leszczu jest bardzo stara; początkowo należała do prawosławnych i została im odebrana przez Polaków i oddana unitom; potem mnichom unickim odebrana przez Rosjan i oddana duchowieństwu prawosławnemu. Jednakże nie ma w niej rzadkich rzeczy, za wyjątkiem rzeźbionej postaci Zbawiciela, jak mówi się, cudownego i cieszącego się wielkim szacunkiem w okolicy. W cerkwi znajduje się księga, w której od dawna zapisywane są cuda dokonane przez ten obraz; cudami są uzdrowienia i darowanie dzieci».*

Niestety, ta świątynia, podobnie jak wiele innych, nie zachowały się do naszych czasów, ale jej wizerunek wraz z znajdującą się w oddali Górą Mendoga zdążył naszkicować i tym samym zachować dla przyszłych pokoleń Napoleon Orda.

Wspomina N. Leskow i ruiny zamku królowej Bony, o których dowiedział się od mieszkańców, ale sprawdzić autentyczność tej informacji nie udało mu się z powodu jej niedostępności.

Najprawdopodobniej jest to jedna »»»



»»» z lokalnych legend, które istniały w tym czasie, a dziś już zapomniana. Ale stare żeliwne działo znalezione przez ziemianina Eismonta w bagnie niedaleko od wsi Mieśkowicz, widział na własne oczy na dziedzińcu posterunku policji. Były pogłoski, że to szwedzka armata zagubiona przez Karola XII...

Trafiając do Pińska, znajdującego się w «granicach żydowskiej osady», autor «Dziennika drogowego», uznał za niemożliwe pominąć uwagę bardzo barwną ludność żydowską, praktycznie nieznaną w centralnych regionach Imperium Rosyjskiego, tj. za «granicą zamieszkania». Nie kryjąc zdziwienia, pisze: «Pińscy Żydzi to niezwykle dziwni Żydzi. Wśród nich, wykształconych ludzi jest niewiele mniej niż wśród Żydów z Odessy. Wielu z nich kilkakrotnie bywało za granicą, prowadzą wielkie sprawy handlowe z Europą, znają kilka języków europejskich, są nawet wśród nich ludzie zajmujący się filozofią i wszyscy nie dążą do pokazywania siebie jako Europejczyka, jak robią to Żydzi w Odessie i niektórzy zza Dniepru. Wręcz przeciwnie, są dumni ze swojej «starodawności». Noszą długie surduty do stóp, pejsy na skroniach i aksamitne jarmułki; nie jedzą mięsa za chrześcijańskim stołem; nie piją wielu pospolitych odmian win; ściśle trzymają się nie tylko wszystkich obrzędów nakazanych przez nauczycieli prawa

Żydów, ale nawet w najdziwniejszy sposób zachowali i zachowują wiele zabobonnych obrzędów, których nie można zobaczyć ani w Berdyczowie, ani w Białej Cerkwi, ani w żadnej innej stolicy Żydów. W karolińskim, tak samo jak i w pińskim rejonie, mieszka bardzo wielu Żydów-kapitalistów, ludzi bardzo oświeconych. Ja nigdzie indziej wśród Żydów nie widziałem takiej miłości do nauki jak w Pińsku. Tutejszy Żyd nigdy nie uważa swojej edukacji za skończoną.

W Pińsku ponad zwykłymi, «starozakonnymi» Żydami-Talmudystami jest jeszcze bardzo charakterystyczna sekta «skakunów», którzy odrzucają wszelką potrzebę dogmatycznego studiowania żydowskiego prawa i zadowolają się jednym wykonaniem nakazanych obrzędów przez rabinów. Obecny rabin pińskich «skakunów» mieszka w Stolinie ... Cieszy się dużym szacunkiem ... i ma na nich nieograniczony wpływ. Skakunowie nie znają sądu wyższego i sprawiedliwiejszego niż sąd rabina stolińskiego. Patrzą na niego jak na istotę uświęconą...»

Dziennikarz nie przestaje dziwić się z powodu miejscowej drobnej szlachty – zjawiska dla wielkorosa niezwykle i niezrozumiałe. Według niego miejscowa szlachta jest «w dosyć złej sytuacji. Jej środki są uboższe od mężczyzn, a honoru szlacheckiego wystarczająco. Mimo że majątek szlachecki, według tutejszego wyrażenia, jest tak wielkie, że pies, leżąc w poprzek jego, ogon trzyma na obcej ziemi, szlachcic jest bardzo wybredny w pracy... Dążą do tego, by mówiono im «waszemu» (wasza miłość, wasza cześć), a nie po prostu bez tytułów...»

Jeśli chodzi o dużych właścicieli ziemskich, to zdaniem autora «nie różnią się od szlachty Wołynia czy Podola».

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM.RED.



Kaplica w Kołbach.  
Rys. Aleksandra Błoka



Kaplica w Kołbach. Foto Borys  
Oboleński (1892-1948) Narodowe Muzeum  
Historyczne RB, arch. elektroniczne

## Aleksander Błok i Polesie

*«Z pola widać Pińsk,  
jakby gród Kitież –  
uniesiony nad mgłą...»*

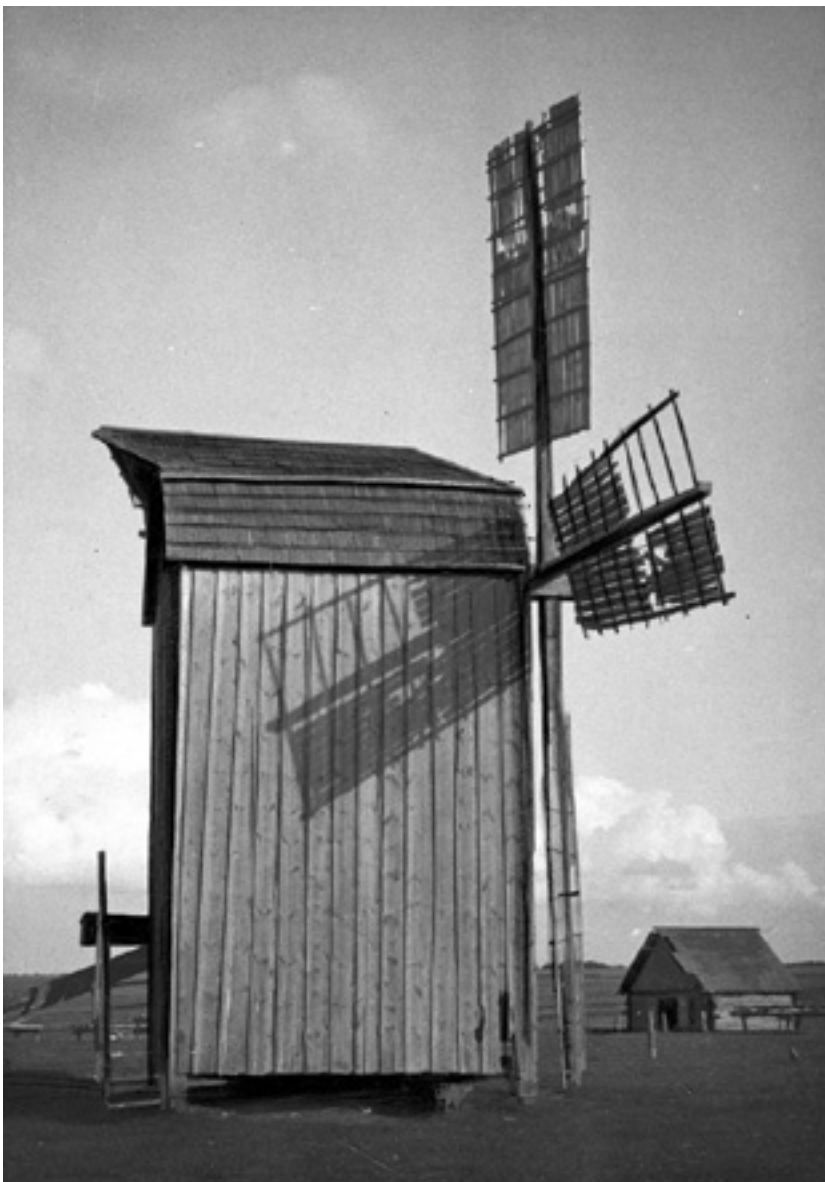
W 1915 r. walki I wojny światowej, które początkowo toczyły się daleko na Zachodzie, dotarły do pińskiego Polesia. 15 września 1915 r. wojska kajzerskie zajęły Pińsk. Linia frontu okrążyła Pińsk z trzech stron – kanał Ogińskiego, Jasiołdę i pińskie Zarzecze i nie ruszyła się z miejsca prawie dwa i pół roku, dzieląc terytorium Pińszczyzny na dwie części zajęte przez niemieckie i rosyjskie wojska. W tym okresie na Polesiu byli tacy znani poeci i prozaicy jak Aleksander Błok, Nikołaj Gumilow, Aleksiej Tołstoj i Maksim Harecki.

Aleksander Błok (1880-1921), pierwszy poeta srebrnego wieku poezji rosyjskiej, od marca 1916 r. do marca 1917 r. służył w 13-tej służbie inżynieryjno-budowlanej Związku Ziemi i Miast, która prowadziła budowę dróg i budowli w okolicach Pińska. Najpierw, wraz ze współpracownikami, poeta mieszkał w Parachońsku w posiadłości Druckich-Lubeckich, bywał w Pohoście, Kamenie, a 14 sierpnia 1914 r. przeniósł się bliżej linii frontu do wsi Kolby, gdzie mieszkał w wielkiej chacie chłopskiej w rodzinie Lemieszewskich. W Kolbach poeta był pod wrażeniem kaplicy, przypominającej mu cerkiew w podmoskiewskim Taranowie, gdzie 17 sierpnia 1913 r. odbył się jego ślub z Lubow Dmitriewną Mendelejewą. Aleksander rysuje tę kaplicę i 16 sierpnia 1916 roku rysunek wysłał do żony. A dziś, trafiając do Kolb, na wiejskiej ulicy można zobaczyć tę małą ośmioboczną kultową budowlę, nakrytą kopułą. W jednym z listów do matki Błok pisał: *«Tutaj żyjemy w grupie – bardzo prymitywnie, ale dobrze i w zgodzie. Z pobliskiego bagna można zobaczyć miasto zajęte przez wroga, wokół stoją wojska.»*

*Generalnie bagna wcale nie są takie, jakie sobie wyobrażasz – na różnych »»»*



Posiadłość Druckich-Lubeckich w Parochońsku, XIX w.



Młyn w Parochońsku. NAC, Sygn.1-G-2086

»»»» *poziomach, niejednolite, częściowo suche. Blisko od nich jest żeglowna rzeka (Styr)...»*

Miasto, o którym pisze A. Blok, to Pińsk, zajęty przez Niemców. Wydawał się poecie magiczną wizją stworzoną z wody, mgieł i refleksów zorzy: *«Z pola widać Pińsk, jakby gród Kitież – uniesiony nad mgłą – biała katedra, czerwony kościół, a pośrodku mniejsze – seminaria»*. Po opuszczeniu Polesia poeta, będąc w Petersburgu, wspominał Pińszczyznę. W swoim pamiętniku 4 września 1917 r. zanotował: *«Czasami wieczorami... nachodzą mnie te surowe, silne, ciężkie i zdrowe wspomnienia o drużynie – o tych ziemiach rosyjskich, ... bujnej jesieni, ostrej zimie...drodze z bali, wieżach, polanach za folwarkiem Łopatino, białym parowcu, który kryształowym porankiem wlecze się wśród gajów, o dębach, sosnach, olchach, Pińsku w dali – wszystko, wszystko. Dobrze!»*.

Poeta przyznał, że wierszy, będąc na froncie, nie pisał, sytuacja nie nastrajała poetycko ... Ale za to wykonał sporo szkiców przyrody poleskiej, a te miniaturowe pejzaże wysyłał w listach z frontu do swoich krewnych do Petersburga.

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM.RED.

# Pińsk

## – centrum życia żydowskiego na Polesiu

*Pińscy Żydzi – to niezwykle dziwni Żydzi. Pośród nich, np., jest niemal tyle samo wykształconych ludzi, jak wśród Żydów odesskich. Wielu pośród nich kilkakrotnie bywało za granicą, prowadzą duży handel z Europą, władają kilkoma językami europejskimi, nawet są pomiędzy nimi ludzie zajmujący się filozofią i, nawiasem mówiąc, wszyscy oni nie odczuwają żadnej potrzeby, żeby pokazywać, że są Europejczykami [...]. Przeciwnie, oni są dumni ze swojej «staroświeckości».*

Nikołaj Leskow, Iz odnogo dorożnogo dniewnika (ros. Z dziennika podróży), 1862.

Ludność miejska Pińska w XIX – pierwszej połowie XX w. bardzo różniła się od ludności wiejskiej Polesia pod wieloma względami – rodzaju zajęcia, przynależności narodowej i wyznaniowej, wykształcenia, języka, kultury. Większą część ludności w mieście stanowili Żydzi: pierwsza wzmianka o nich pochodzi z 1506 r. Po zakończeniu krwawego XVII wieku, na końcu którego powstało żydowskie przedmieście

Karolin, społeczność żydowska przyrastała z każdym nowym pokoleniem, a Żydzi zaczęli odgrywać ważną rolę w ekonomicznym życiu miasta i kraju. O Pińsku tamtej epoki mówiono nie inaczej jak o żydowskim mieście...

Tu urodzili się, mieszkali, studiowali, pracowali i tworzyli ludzie, którzy później stali się sławni daleko poza ojczyzną; nawet będąc daleko od Pińska i Polesia, nie zapominali o swojej małej ojczyźnie. W szkole realnej w Pińsku, której budynek dziś upamiętnia tablica pamiątkowa, w latach 1884-1892 r. studiował przyszły pierwszy prezydent Izraela i autor setek odkryć naukowych w dziedzinie chemii Chaim Weizmann (1874-1952). Do Pińska trafił



H. Weizmann

w wieku 10 lat i skończył cheder. Według jego wspomnień, po małej miejscowości Motol, gdzie urodził się i dorósł, Pińsk wydawał mu się niemal stolicą świata. Gdy został znanym politykiem i naukowcem, pisał w pamiętnikach «W poszukiwaniu »»»





»»» drogi): «Pińsk z 30 tys. mieszkańców, z których większość stanowili Żydzi, był prawdziwą prowincjonalną metropolią. Oczywiście, ze względu na swoje znaczenie kulturowe nie mógł konkurować z takimi miastami jak Warszawa, Wilno, Odessa..., ale nie był nikomu nie znaną wsią... W Pińsku byli żydowscy uczeni i działacze, gimnazja... biblioteki, szpitale, fabryki – a nawet brukowane ulice».

Nie tylko H. Weizmann, ale także wielu innych przedstawicieli utalentowanej



żydowskiej młodzieży, starano się uzyskać wykształcenie za granicą, tam gdzie nie ma poniżającej normy procentowej dla Żydów przy przyjmowaniu na uniwersytety, jak i nie ma «cechy stałego europejskiego zamieszkania», gdzie od czasów Katarzyny II znajdował się Pińsk. Gdy przez Imperium Rosyjskie przetoczyła się fala żydowskich pogromów organizowanych

przez Czarną Sotnię, emigracja jeszcze bardziej nasiliła się. Nawet opuszczając Pińsk, większość pamiętała miasto nad Piną i była dumna ze swojego pińskiego pochodzenia.

Wspomniała o tym także premier Izraela Golda Meir (1898-1978), z domu Mabo-wicz, która dzieciństwo spędziła w Pińsku, w ojczyźnie jej matki – Blumy Naidich: «Ki-jów, gdzie się urodziłam, ukrył się przede mną we mgłę czasu; Pińsk, który pamiętam..., był jednym z najbardziej sławnych ośrodków życia żydowskiego, a w pewnym czasie Żydzi stanowili tam nawet większość. Stał nad dwoma dużymi rzekami..., a te rzeki dawały dla większości pińskich Żydów środki na utrzymanie. Łowili ryby, ładowali statki towarowe, pracowali jako tragarze ... Bogaci Żydzi prowadzili handel drewnem i solą...»

Oprócz uogólnionego obrazu Pińska, są we wspomnieniach Goldy Meir i maleńkie szkice, cenne dzięki dziecięcej prawdomówności. Wspomina ogromny klasztor na placu rynkowym, który napawał ją przerażeniem z powodu dużej ilości żebraków, krzyczących strasznymi głosami; kozaków na koniach, którzy przelecieli dosłownie



סמילאט חסד פון פוילן, געבילדעטער און פרייערער און זיין פראגס פון איינעקעס בנין  
אויף דער י. ל. פרייערס (געזעצטען בלאטעטע)

nad głowami żydowskich dzieci bawiącymi się w błocie; gromadzenie lodu na rzece Pinie ... A najbardziej jasnym wspomnieniem o Pińsku były rodzinne wieczory, gdy za dużym stołem gromadzili się jej krewni, pili herbatę z samowaru i śpiewali piosenki...

TATIANA CHWAGINA  
TŁUM.RED



G.Meir

*Żydzi w Pińsku, wydaje się – wszyscy. Ich działalnością kwitnie nie tylko całe miasto, ale również handel całego kraju. Rzemieślnicy, kupcy, dorożkarze – wszyscy Żydzi, i bez Żyda nic nie może się tutaj odbyć.*

Nikołaj Leskow, Iz odnogo dorożnogo dniewnika (ros. Z dziennika podróży), 1862.

**9 sierpnia 1506 r. piński książę Fiodor Iwanowicz Jarosławicz podpisał akt nadania pińskim Żydom działek pod budowę synagogi i cmentarza. Ok. 15 rodzin utworzyło tu gminę żydowską. Ten akt jest pierwszą pisemną wzmianką o żydowskiej społeczności w Pińsku.**

Żydzi zajmowali się dzierżawą mienia, lichwą, poborem podatków i ceł, handlem drewnem, chlebem, potażem, a także rzemiosłem. Piński kahał był jednym z najbogatszych w Wielkim Księstwie Litewskim, ale w 1574 r., z powodu wielu pożarów, epidemii i innych klęsk, pińscy Żydzi zwrócili się do Wielkiego Księcia Litewskiego z prośbą o zwolnienie ich od wszystkich podatków i opłat, tak by mieć środki na odbudowę

domów i majątków. Uzyskali zwolnienie na 6 lat.

Na pocz. XVII w. pińska gmina była jedną z trzech głównych społeczności Litewskiego Waadu. Podczas wojen poł. XVII w. i pocz. XVIII w. Pińsk i tamtejsza gmina żydowska wiele wycierpiały. Kozackie oddziały Bogdana Chmielnickiego, wspierane przez prawosławnych mieszkańców miasta, krwawo rozprawiły się z pińskimi Żydami. Pińska wspólnota żydowska ucierpiała także podczas wojny rosyjsko-polskiej w latach 1654–1667. W 1654 r. Pińsk spaliły wojska rosyjskie. W 1660 r. miasto znów było zajęte i ograbione przez wojska rosyjskie i Kozaków, wielu Żydów zabito. Sytuacja była na tyle trudna, że dwukrotnie – w 1655 r. i w 1660 r. – miasto było zwolnione na 4 lata od wszelkich podatków i powinności. Kolejne nieszczęścia spotkały pińskich Żydów na pocz. XVIII w., zwłaszcza w 1706 r., kiedy miasto zostało podbite przez wojska króla szwedzkiego Karola XII.

Piński kahał zwracał się z prośbą o pomoc pieniężną do dominikanów: w 1693 r. zaciągnął u nich kredyt w wysokości 1000 zł, w 1737 r. – 16 630 zł. Wierzycielami były również kościoły katolickie. Wiadomo,

Budynek gminy żydowskiej w Pińsku





że Trybunał Litewski w końcu XVII w. i na pocz. XVIII w. nałożył wyrok skazujący na wygnanie z Wielkiego Księstwa Litewskiego lub na kaźń starszyznę pińskiej wspólnoty żydowskiej z powodu niespłacenia długów wobec skarbu państwa i osób prywatnych.

W inwentarzu miasta za 1764 r. były zarejestrowane cechy: kowalski, garbarski, szewski, rzeźnicki, krawiecki, rybacki, kuśnierski i inne cechy rzemieślnicze.

W 2. poł. XIX w. w Pińsku założono żydowski szpital (ul. Zawalna 9).

Publiczny szpital żydowski na Karolinie był zbudowany i utrzymywany dzięki pińskiemu kupiectwu. W nim znajduje się 7 sal, gdzie chorzy są rozmieszczeni wg charakteru dolegliwości. [...] Doktor Fiszkin, Żyd z pochodzenia i wyznania, był niezwykle światłym i uczciwym człowiekiem, cieszącym się ogromnym szacunkiem całego miasta. Był znany nie tylko jako dobry, lecz także jako bezinteresowny lekarz. Celem całego jego życia było służenie ludności, zapominając o swoich osobistych interesach. Wymyślił ideę zbudowania w Pińsku szpitala dla biednych, zabiegał o wcielenie w życie swojego szlachetnego pomysłu, był w nim lekarzem, bez żadnej zapłaty i umarł tak, jak najczęściej umierają dobrzy ludzie, tzn. nigdzie i nikt nie krzyczał i nie ogłaszał jego śmierci.

Nikołaj Leskow, Iz odnogo dorożnogo dniewnika (ros. Z dziennika podróży), 1862.

## Przedmieście Karolin

W 1690 r. piński starosta Jan Karol Dolski na miejscu Zagórza założył miejskie przedmieście i nadał mu nazwę Karolin. Pińsk i Karlin (tak go nazywali Żydzi; Karolin to współczesna nazwa przedmieścia Pińska) rozdzielała tylko ul. Rowecka. Karolińska społeczność żydowska szybko się rozrastała: pojawiły się synagogi, cheder, mykwa, cmentarz, zbudowano sklepy, spichlerze i składy. Koryto Prypeci zostało wyprostowane przez kanał, dzięki któremu Karolin miał przewagę nad Pińskiem: ładunki i towary,

które przewożono od strony Dniepru najpierw trafiały na karolińskie nabrzeże. Karolin pod względem obrotu towarami i dochodów mieszkańców zaczął wyprzedzać Pińsk.

W 2. poł. XVII w. w Pińsku toczyły się spory między przeciwnikami chasydyzmu (misnagdami) a jego zwolennikami, w rezultacie których piński rabin Lewi Icchok ben Meir z Berdyczowa zmuszony był opuścić miasto. Przedmieście Pińska, Karolin, stało się rezydencją chasydzkich cadyków.

*Gdybym tylko mógł pokochać  
największego z cadyków, tak jak Bóg  
kocha ostatniego z grzeszników.*

*Aaron Karliner*

Założycielem karolińskiej dynastii był Aaron Karliner (Perłow; 1736–1772), syn Jaakowa z Janowa – synagogałnego służącego, którego rodzina, wg legendy, należała do rodu króla Dawida. W młodości pod wpływem wuja wyruszył do Międzyrzecza, gdzie został jednym z ulubionych uczniów rabina Dow Bera, Wielkiego Magida. Po powrocie do Karolina zlecono mu misję rozpowszechnienia chasydyzmu na Litwie. Kolejnym cadykiem był Szlomo (Gottlib) z Karolina (1738–1792), uczeń Wielkiego Magida i Aarona Karlinera, który z powodu prześladowania chasydów zmuszony był do ucieczki do wołyńskiego centrum chasydyzmu w Ludmirze (Włodzimierz Wołyński). Zginął od kuli kozackiej podczas wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. podczas modlitwy we włodzimierskiej synagodze. Chasydzi wierzyli, że ich rebe «rozumie język drzew, zwierząt i ptaków», i mówili o nim: «Kto może równać się ze świętym Szlomą: przecież on – przerasta świat o dłoń».

Kolejnymi przywódcami dynastii byli Aszer ben Aaron (1765–1826) i jego syn Aaron II (1802–1872). Aszer ben Aaron w 1792 r. osiedlił się w miasteczku Stolin w pobliżu Karolina, po czym karolińskich chasydów zaczęto nazywać również stolińskimi. Podkreślając religijną wartość pracy, »»»



Synagoga

»»» wymagał od chasydów we wszystkich dziedzinach gorliwości, potępiając Żydów wykorzystujących nieżydowskich pracowników. W 1792 r. aresztowany jako «przywódca sekty», po uwolnieniu wrócił do Karolina. Pod przywództwem jego syna Aarona II karoliński chasydyzm zdobył szeroki wpływ na Polesiu i Wołyniu. W traktacie Bejt Aaron (hebr. Dom Aarona, 1875) podkreślił, że życie codzienne, tak jak i modlitwa, jest służeniem Bogu, a osiągnięcie duchowej doskonałości przybliży nadejście Mesjasza. Właśnie wtedy ułożono najbardziej znane karolińskie melodie i pieśni. Aaron II okazywał duchowną i materialną pomoc wspólnotom karolińskich chasydów, które osiedliły się w Ziemi Obiecanej. W 1867 r. przeprowadził się do Stolina.

### **Kompleks synagogałny**

W 1506 r. w Pińsku wybudowano, obok

głównego placu handlowego, synagogę, a w poł. XVII w. kolejną – kamienną Wielką Synagogę, należącą do cechu krawieckiego «Sznajder-szul». Wielką Synagogę wznoszono w czasach, kiedy architektura sakralna i obronna były ze sobą ściśle związane. Gmach synagogi był świadkiem dramatycznych wydarzeń w poł. XVII w. Wielokrotnie płonęła i była bezczeszczona, ale za każdym razem ją odbudowywano.

W 1863 r. w Pińsku działało 27 synagog i domów modlitwy, w 1910 r. – 35, w 1940 r. – 43.

Mocno zdewastowanej podczas II wojny światowej Wielkiej Synagodze nie udało się przetrwać powojennej socjalistycznej rekonstrukcji miasta i w 1956 r. została zburzona. Na jej miejscu wybudowano miejski Dom Kultury. Zniszczone zostały także inne pińskie bóżnice i domy modlitwy. Ostatnią działającą w Pińsku w czasach sowieckich synagogą była synagoga chasydów stołińskich, nazywana też Kitajewską (nazwa

związana ze strojami z atłasu, sprowadzającego z Chin, które nosili chasydzi). Dzisiaj na ich miejscu znajduje się ruchliwe skrzyżowanie ulic: Biełowa i W. Korża.

## Cmentarze żydowskie

Pierwszy cmentarz żydowski w Pińsku powstał na pocz. XVI w., pomiędzy ul. Koltarską i ul. Zawalną (ul. Maszkowskiego). Pochowano tu m.in. Cwiego Hirsza, syna Baal Szem Towa, założyciela chasydyzmu. Cmentarz chasydzki znajdował się przy ul. Puszkina, pochowano na nim m.in. Aarona Wielkiego Karolinera, jego syna Aszera, karolińskiego rabina Dowida Frydmana, Ejzera Weizmana (ojca pierwszego prezydenta Izraela, Chaima Weizmana). Oba cmentarze zostały zniszczone w czasach sowieckich. W miejscu cmentarza chasydzkiego ustawiono pomnik ku pamięci ofiar



egzekucji dokonywanych na terenie nekropolii w latach 1941–1943. Na cmentarzu komunalnym przy ul. Spokojnej znajduje się kwatera, na której po wojnie chowani byli pińscy Żydzi.



Cmentarz

מצבה פון היים ווייצמאנס פאטער (לינקס) אויפן קארלינער ביתיעולם

## Drogi wojenne *Lwa Wojtołowskiego* i *Waleriana Torniusa*

Drogi wojskowe zaprowadziły na Polesie, objęte płomieniem I wojny światowej, Lwa Naumowicza Wojtołowskiego (1875-1941) – lekarza, dziennikarza, publicystę i krytyka literackiego. Do wspomnień o tym czasie wrócił po wielu latach, opisując okropności odwrotu, cierpienia uchodźców, a przy tym udało mu się namalować żywe, jak płótna artystów, obrazy poleskiej przyrody, i nadać charakterystykę Poleszukom – bardzo zgodną z tą, która wyszła spod pióra D. Bułgakowa.



Chyba jeszcze nikt przed nim nie dostrzegł na Polesiu tego strasznego i hipnotyzującego piękna: «Dziki, piękne, ale obce. Obce, jak surowa legenda starożytności, jak skrawek starożytnego, zastygłego życia, skradzionego z historii i żywcem pogrzebanego wśród bagien i lasów. Z trudem wczuwamy się w ducha poleskiej przyrody ... Wydaje się, że zaraz wyskoczy na torfowisko cudowny jednorozec albo siwa, bagnista kikumora

wynurzy się z bagna. I nawet dudnienie dział brzmi z jakąś straszną baśniową mocą».

Z nieskrywanym zdziwieniem i sympatią pisze Lew Wojtołowski i o Poleszuchach: «Pamiętam, że gdzieś w jakiejś naukowej książce czytałem o mieszkańcach Polesia (i chyba ta reputacja trzyma się bardzo mocno), jakby to był dziki prymitywny naród – z niemą pokorą w duszy i z kołtunem we włosach. Co Poleszucy pomyśleliby o tym uczonym oszczercy? Ze swoich dzikich bagien zassali jakąś wilczą dumę, nieokiełznany upór i najgłębszą pogardę dla ludzi «zwyczajnych». Ludzie «zwyczajni» to my wszyscy, nudni mieszkańcy miast; dzieci nudnej prozy kulturowej. Jak dumnie i arogancko Poleszucy obnoszą się ze swoją wyższością nad nami! Ubierają się w białoruskie stroje; ale w odróżnieniu od Białorusinów (ludzi «zwyczajnych») obiszują swoje stroje czarną taśmą. Są zakochani w swoje grzędawiska i mateczniki. Znają każdy kwiat i każdą kępę w swoich las. Nigdy nie rozstają się z bronią i mówią o sobie z niezrównaną chępliwością: «Prędej ryba zatonię niż Poleszuc».

O życiu – za obszarem pińskich bagien – nie chce słyszeć Poleszuc. Żyje w świecie baśni, wymysłów, dziwactw i prawie się nie liczy ze światem ludzi «zwyczajnych» i wierzy w moc magicznych zaklęć i czary tak naiwnie i święcie jak jego odlegli przodkowie. Poleskie wierzenia i legendy są równie przerażające i tajemnicze, jak poleskie lasy, równie dziki i ponuro piękne, jak kwiaty wyrastające z głębi grzędawisk».

Ale jest też inny pogląd – z okupowanej części pińskiego Polesia. Jednocześnie najbardziej



zaskakujące jest to, że przypomina słowa, wypowiedziane o Pińsku przez A. Bloka. Niemiecki krytyk literacki, pisarz i tłumacz Walerian Tornius (1883-1970) w jednym ze swoich artykułów pisze: «Pińsk ... to dziwna oaza na tym jałowym, szarym, bagnistym terenie, pokrytym niezliczonymi zbiornikami wodnymi. Ale to właśnie ten kontrast nadaje Pińsku szczególną urodę. Jak zaczarowane miasto, on... leży na środku bagien, a kiedy promienie słoneczne padają na kopuły cerkwi, przypomina się legendarna Wineta, która zamiast tego, żeby spoczywać na dnie morskim, została wybudowana tutaj na bagnach i wydaje się tylko wymykającym się widmem, topniejącym ... w miarę zbliżania się».

Pińsk w tamtym czasie został sfilmowany z różnych kątów przez wojsko. Poszczególne zdjęcia były wykorzystywane przy wydawaniu pocztówek, które kaiserowscy żołnierze i oficerowie wysyłali do domów, do Niemiec. I dziś można je zobaczyć w muzeach regionalnych, prywatnych kolekcjach i albumach fotograficznych poświęconych Pińskowi i Polesiu.

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM.RED.

## «Dziewicza kraina starożytności»

# JAKUB KOŁAS I POLESIE



W 1902 roku, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Nieświeżu, trafił na poleskie odludzie młody nauczyciel Konstancin Mickiewicz – przyszły klasyk literatury białoruskiej Jakub Kołas (1882-1956). Od tego czasu Polesie, a wraz z nim powiatowe miasto Pińsk, zajęły w jego życiu i twórczości ważne miejsce. Uczył w Liusinie, Pinkowiczach, Łunińcu, Pińsku... Na Polesie Konstanty Michajłowicz wrócił po mińskim więzieniu, gdzie odbywał karę za udział w działalności rewolucyjnej. W Pińsku poznał swoją miłość – młodą nauczycielkę Marię Dmitriewną Kamieńską, pobrali się w 1913 r. w cerkwi Przemienienia Pańskiego w Pińsku. Mieszkanie wynajmowali blisko dworca kolejowego, w domu felczera Arsenija Balewicza, tutaj urodził się ich najstarszy syn Danila Mickiewicz...

Poleskie wrażenia stały się podstawą trylogii autobiograficznej «Na rozdzo», której głównym bohaterem jest nauczyciel Lobanowicz, pod wieloma względami podobny do samego autora. Po raz pierwszy zetknąwszy się z Polesiem, poczuł jego odmienną od tych miejsc, gdzie się urodził i bywał wcześniej, odmienną we wszystkim – w okazałych, stojących murem tajemniczych borach, w tajemniczych głuchych «zakątkach», gdzie wydawało się, że jeszcze nie stanęła stopa człowieka, w nielicznych osadach, zagubionych wśród tych rozległych bagien i lasów: «*Podobał mu się i ten głuchy zakątek Polesia, o którym jeszcze w domu tak wiele ciekawych rzeczy usłyszał od starego wędrowca i ten lud ze*



Jakub Kołas

*swoim szczególnym językiem i zwyczajami, tak niepodobny do języków i zwyczajów tych Białorusinów, z którego wyłonił się Lobanowicz; ta dziewicza kraina starożytności, która na każdym kroku rzucała mu się w oczy i zatrzymywała na sobie uwagę, a ten wygląd samej miejscowości, którego nie mógł jeszcze uchwycić Lobanowicz, ale która też skrywała w sobie wiele ciekawego i, jego zdaniem, kuszącego».*

Klasyk literatury białoruskiej wyrósł nad brzegiem Niemna, wśród lasów i dubraw rejonu stołpeckiego, a od dzieciństwa przeniknął miłością i szacunkiem do przyrody. Nic dziwnego, że jego bohatera, Lobanowicza, Polesie zadziwiło swą wielkością. Wychwalając je, porównał bory poleskie, które otaczały wioskę, gdzie pracował jako nauczyciel z majestatyczną świątynią, gdzie o świecie zaczynają brzmieć podobne »»»

Leśne błoto



»»» do modlitwy ptasie trele: *«Zaczyna się świt i razem z nim budzi się Polesie. Daleko w lesie słycać cietrzewia, jakby ktoś pobożny czyta tam modlitwy. Jeszcze głośniejszy, jeszcze z większym entuzjazmem odprawiają słowiki wczesne litania. Jako wdzięczność niebu, jako dym pachnący smołą, wznosi się w górę dym i zdaje się, odprawiają nabożeństwa te lasy, owinięte cienkimi tkankami pary. Wschód jaśnieje, cicho gra i mieni się ta jasność – szczęśliwy uśmiech dnia – aby diamenty rozbiły się na świeżych młodych liściach, na czystych kroplach rosy i rozświetlić je blaskiem najdroższych kamieni».*



Maria Kamienskaja

Bohater J. Kołasa szczerze polubił Poleszuków, trafnie zauważając cechy ich charakteru i rodzaju zawodu: *«Jednym słowem, mieszkańcy tej wioski znaleźli sobie prawdziwe dzieci lasu, które*

*jakby całkiem jeszcze niedawno osiedlili się tutaj i tylko co przenieśli się z jednej formy życia do drugiej. Wszyscy byli zapalonymi myśliwymi, interesowali się tylko jednym rodzajem strzelby i byli wybornymi strzelcami. Chłopi z innych wiosek więcej czasu spędzali na polach i nazywano ich Polanami i tym samym niejako odróżniano ich od siebie, mieszkańców lasu. A lasów i bagien było tutaj dużo w krainie...»*

Wśród wszystkiego, co napisano o Polesiu przez różnych autorów, wersy J. Kołasa zajmują szczególne miejsce, zamieniając się w prozę poetycką, wypełnioną farbami, obrazami i jakąś swoją nieco smutną melodią: wszystko to jest prawdą i wszystko to jest magią ... A nawet krajobraz za oknem, który widzi nauczyciel Lobanowicz, podjeżdżając do Pińska, od zwykłego, dyskretnego, zamienia się w niezwykle, fantazyjne widowisko, zabarwione wszystkimi kolorami jesieni: *«Jeszcze nie widząc krajobrazów pińskiego Polesia skąpanych w blasku wrześnie słońca, otoczone cienką zastoną błękitu, pełne swoistego*

splendoru, pierwotnej dzikości, miękkości tonów i pewnej wiecznej zadumy, pojawiały się przed Lobanowiczem, zachwycaly swoim urokiem, nieosiągalnymi ziemskimi przestrzeniami i równinami ziemi, łączących się z niebem lub chowających się za granatową wstążką nieskończenie odległych lasów. A na tej równinie były poleskie wsie, gdzie pod strzechami budynków wznosiły się wysoko wiązy, lipy i klony, posypane złotem jesieni. Błyszczącym srebrem wylewały się rzeki z niskich brzegów, porośnięte dziką trawą, tatarakiem i trzcina. Na tych trzęsących się bagnach, gdzie zdawałoby się, że nie ma wody, przepychali się czółnami rybacy Poleszacy w oryginalnych ubraniach i kapeluszach z szerokim rondem. Miejscami były rozłożone całe obszary żółtych piasków oszlakowanych kręconymi młodymi sosnami. Rysunki brózd znikaly, zastępowane nowymi i nie było czasu zatrzymać wzroku na nich, bo pociąg pędził bardzo szybko, mijając ostatni rozjazd przed Pińskiem».

Jakub Kołas po raz pierwszy przyjechał do Pińska w 1904 r., otrzymał przydział do Szkoły Powszechnej w Pińsku. W trylogii «Na rozdrożach» pisarz rysuje scenę na

rynku pińskim, gdzie głównymi bohaterami byli niewątpliwie Poleszacy: «... tu jest karoliński rynek. Nie spiesząc się i rozglądając się, zaczął Lobanowicz chodzić po rynku, szukając chłopskich bryczek. Tu i ówdzie można było spotkać typowych Poleszaków, nadzwyczaj poważnych, a nawet dumnych, bo tak znieważająco patrzyli na wszystko, co nie było Poleszukiem i niezbyt chętnie wdawali się w rozmowy, które nie miały bezpośrednich stosunków do nich. Ich zdaniem, kto nie jest Poleszukiem, ten jest ubogi lub po prostu jest oszustem». (Na rozdrożu, 1923).

Na łamach nieśmiertelnej trylogii pojawia się również obraz starego Pińska: «Uporczywą grozą i ponurą surowością wieje od tych staroświeckich murów, a klasztor ma wygląd nieprzekupnego strażnika, który przeżył tradycje religijne starożytności. Jak nienaruszona skała nad morzem, stoi nad bagnami ten cichy olbrzym, oglądający nieosiągalne rozłogi pińskiego Polesia na odległe dziesiątki wiorst».

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM. RED.



w.Lubochiny

*«Zawsze szukałem swojego domu,  
szukałem Pińska...»*

## RYSZARD KAPUŚCIŃSKI I POLESIE



Przedwojenny Pińsk nie raz pojawiał się w pamięci Ryszarda Kapuścińskiego (1932-2007), który urodził się w rodzinie nauczycieli w mieście nad Piną i spędził tu swoje dzieciństwo. Jest on legendą światowego dziennikarstwa – w ciągu swojej kariery odwiedził ponad sto krajów świata, był świadkiem licznych zamachów stanu, rewolucji, wojen domowych i katastrof społecznych, czterdzieści razy został wtrącony do więzienia... Jego twórcze dziedzictwo to 26 książek, zbiory poezji, publicystyka, fotoreportaże – otrzymał dziesięć nagród literackich i dziennikarskich; w 1995 r. przyznano mu tytuł «najlepszego dziennikarza XX wieku», dwukrotnie był nominowany do Literackiej Nagrody Nobla...

Ryszard Kapuściński



Ale nawet po tym, jak objechał pół świata, R. Kapuściński zawsze wspominał swoją małą ojczyznę – Pińsk i Polesie. Nie przestawał przyznawać się do miłości do miasta swego dzieciństwa, znajdując dla niego szczególne, pochodzące z samego serca słowa: «Nasze małe miasto, zielone i duszne latem, jesienią brązowe i lśniące jak bursztyn w blasku słońca...»

Charakterystyczny kraj poleski, uchwycony jeszcze wtedy w jego pamięci z dzieciństwa, był dla przyszłego klasyka źródłem twórczej inspiracji w licznych zagranicznych delegacjach: «*Pochodzę z Pińska, z Polesia. Można powiedzieć, że z prowincji Europy. Może dlatego lubię bywać w krajach trzeciego świata... One przypominają mi moje dzieciństwo... Zawsze szukałem swojego domu – w Afryce, w Azji, w Ameryce Łacińskiej...*»

R. Kapuściński marzył o napisaniu książki o Pińsku i latami zbierał materiały, ale to marzenie nie miało się ziścić. I jednak w jego książce «Imperium» znajdują się wersy, które malują obraz Pińska na przełomie epok, kiedy realia dawnego życia gdzieś odchodzą i nagle zostają zastąpione nowymi...

We wrześniu 1939 r. Ryszard poszedł do pierwszej klasy sowieckiej szkoły, która mieściła się w tym samym budynku co polska szkoła, gdzie wcześniej nauczycielem zajęć technicznych był jego ojciec, Józef Kapuściński. W czas zajęć uczniowie i nauczyciele stali się nieświadomymi świadkami ostrzelania kościoła św. Stanisława, stojącego niedaleko szkoły na Rynku Głównym: «*Czasami lekcje przerywa armatni strzał.*»



Słychać go obok – nieoczekiwany, głośny; trzęsą się szyby, ściany, a nauczyciel patrzy z przerażeniem i zakłopotaniem przez okno. Kiedy po strzale zapada cisza, wracamy do czytania naszej grubej książki, ale kiedy słyszemy zgrzyt blachy, pęknięcie ścian, odgłosy spadających kamieni, klasa ożywa. Słychać wzburzone głosy – trafili do celu. I gdy tylko zadzwoni dzwonek, już biegniemy na plac – zobaczyć, co się stało.

Nasza nieduża dwupiętrowa szkoła znajduje się tutaj, w pobliżu placu, który nosi nazwę 3-go Maja. Właśnie na tym placu stoi duży kościół..., największy w mieście. Trzeba podnieść wysoko głowę, aby zobaczyć, gdzie kończy się kościół i zaczyna się niebo. To w to miejsce strzela armata, aby zburzyć wieżę... Nasza sąsiadka powiedziała mamie, że pewnego dnia, kiedy opadł kurz, zobaczyła na szczycie zniszczonej wieży świętego Andrzeja Bobołę».

Kolejny łańcuch wydarzeń, których dotyczy pisarza – to zniknięcie z jego szkoły wielu uczniów i nauczycieli – rozpoczęła się deportacja. Pod jej zagrożeniem znalazła się także rodzina Kapuścińskich. Ale dzieci są dziećmi. Stojąc całą noc w kolejce po słodczyce i otrzymując zamiast cukierków blaszane pudełko od cukierków – po jednym na osobę – Ryszard wraz z rówieśnikami biegnie do parku miejskiego, gdzie po wyjeździe cyrku pozostała połamana karuzela – bez silnika i z jedynym siedzeniem: «W parku jest pusto i cicho, a my biegniemy na karuzelę i zaczynamy ją kręcić. Już ruszyła, już piszczy. Wskoczyłem na siedzenie i zapiąłem się łańcuchem..., karuzela pędzi, czuję mroźny wiatr, który szczypie i bije mnie po twarzy..., wiatr, na skrzydłach którego wznoszę się jak pilot, jakby ptak, jakby chmura».

Po raz pierwszy po tym, gdy rodzina Kapuścińskich opuściła Pińsk, on z podnieceniem przyjechał do rodzinnego miasta w 1979 roku: «Cały dzień jadę autobusem z Mińska do mojego rodzinnego Pińska. Ten sam krajobraz od rana do wieczora, jakbym zatrzymał się w jednym miejscu. Tylko gdzieś płytkie i zakrzywione koryto Niemna,



Dawna szkoła, do której uczęszczał



Dawna cukiernia Gregorowicza

gdzieś prosta linia kanału Ogińskiego. W południe poszedłem do kościoła. Po nabożeństwie, kiedy ludzie wychodzili, podszedłem i zapytałem, czy ktoś pamięta moich rodziców, którzy nauczali tutaj w szkole i powiedziałem, jak nazywam się. Okazało się, że ci, którzy wychodzili z mszy, byli uczniami mojej mamy i taty, starszymi o 50 lat. Wróciłem do domu swojego dzieciństwa...»

Przez długi czas twórczość uznanego na całym świecie rodaka – «Herodota z Polesia», jak zaczęto go nazywać po wydaniu książki – «Podróże z Herodotem» »»»



Dom przy ul.Bołotnej (obecnie ul.Suworowa 43), w którym mieszkała przed wojną rodzina Ryszarda Kapuścińskiego



Dom obecnie

»»» – nie była znana białoruskiemu czytelnikowi, a i dziś przekłady dzieł Kapuścińskiego na białoruski i rosyjski są niestety nieliczne. W 2009 roku książka «Imperium» została przetłumaczona na język białoruski i wydana w Mińsku. Niezwykle interesujący jest nie tylko autorski tekst, ale także dodatek napisany przez szwedzkiego tłumacza-slawistę Andersa Bodegarda. Nie tylko przetłumaczył utwory R. Kapuścińskiego na język szwedzki, ale także stał się jego towarzyszem podczas jednej z podróży do małej ojczyzny. Bodegard opisał szczegółowo ich wspólny przyjazd do Pińska: «Jedziemy przez bezkresną równinę, horyzont widać jakby na morzu, a jeszcze mówią, że świat jest przeludniony... – zauważa Ryszard. – Spokojny, cichy krajobraz, miejscami po polach chodzą bociany, pasą się stada krów i czarne ptaki machają skrzydłami...»

Po przyjeździe R. Kapuściński i jego towarzysze przyjechali do hotelu «Prypeć». Poszli do najbliższego banku i wyruszyli na spacer po mieście, oddając cześć każdemu wartemu uwagi budynkowi: pałacowi M. Butrymowicza, dawnej restauracji T. Gregorowicza, kościołowi katedralnemu, dawnemu rynkowi z bazarem w kształcie łodzi i klasztorowi Jezuitów. Anders Bodegard pisze: «Wszyscy wychodzimy do miasta z poczuciem radosnego oczekiwania – idziemy ulicą Lenina (dawna T. Kościuszki), w pobliżu hotelu znajduje się pałac M. Butrymowicza, zbudowany dla polskiego senatora w XVIII w., dawnej rezydencji biskupa... Kiedyś

przed pałacem był park, który ciągnął się aż do rzeki, a teraz perspektywę zakrywają podwórka i inne absurdalne rzeczy.

Ryszard zatrzymuje się przed białym domem z zaokrąglonym rogami. Znajdowała się tu najlepsza w mieście restauracja i cukiernia – «Gregorowicz». Mama Ryszarda zabierała tu dzieci na lody. Następny przystanek na tej samej ulicy – otoczona murem katedra katolicka – dawny kościół Franciszkański...odbywają się tam nabożeństwa. W pobliżu znajduje się szkoła, do której Ryszard chodził jesienią 1939 r. ... ta sama szkoła, w której słyszał było armatnie salwy, gdy ostrzeliwano wieże wielkiego kościoła Jezuitów, który znajdował się na placu 3-go Maja.

... Teraz jesteśmy za mostem, w miejscu, gdzie przed wojną, kiedy brzeg rzeki nie był osuszony i czasami zalewała go woda – był duży rynek. Przyptywali tu na wąskich łódkach chłopcy, aby sprzedawać ryby, miód, skórę, drewno... nic nie zostało. Na górze – dawny klasztor Jezuitów, który nawet bez wysadzonej cerkwi dominuje nad krajobrazem rzeki. Wszystko to zostało zbudowane w 1631 roku przez Stanisława Albrechta Radziwiłła – kanclerza Litwy... Budynek klasztoru niedawno przekształcili w Muzeum Miejskie, teraz mają w nim otworzyć wystawę etnograficzną poświęconą Polesiu...»

Rodzina Kapuścińskich nie miała w Pińsku własnego mieszkania i kilka razy przenosiła się z mieszkania do mieszkania. Do dnia dzisiejszego zostały dwa domy – na

ulicy Suworowa (Bołotnej) i na rogu ulic Sowieckiej (Bernardyńskiej) i Gogola (Teodorowskiej). Domów przy ulicy Wesolej i Kolejowej już nie ma. Obraz, który zastał pisarz na ulicy Suworowa 43 – tam, gdzie mieszkał przez kilka lat z rodziną – był przynębiający: ruina, którą zamierzają zburzyć. Na szczęście ten zabytkowy dom udało się zachować i teraz umieszczono na nim tablicę upamiętniającą słynnego pisarza, który rozstał się zarówno z literaturą polską, jak i swoją małą ojczyznę.

Każdy, kto urodził się lub bywał w Pińsku wie, że bez wodnego spaceru nie da się stworzyć pełnego wyobrażenia o stolicy Polesia.

R. Kapuściński dobrze pamiętał, że Pińsk jego dzieciństwa był znaczną bazą flotową z portem i stocznia. Po wejściu na most, wraz ze swoimi towarzyszami podziwiał podpory starego mostu wybudowanego w 1930 roku i łączącego Pińsk i Zarzecze, leżące na prawym brzegu za Piną.

*«Niemcy wysadzili most, ale po wojnie został odbudowany, w 1970 zburzyli i zbudowali nowy. Nasz przyjaciel i przewodnik Aleksiej (Dubrowski) zamówił dla nas motorówkę. Nasza łódź była jedyna z silnikiem, ale na rzece było pełno wiosłarzy w kajakach i zwykłych czótnach ... Kiedy siedzimy w motorowce, Ryszard mówi: «Słyszycie, jak cicho». Woda nie porusza się, jakby nie było prądu. Tutaj nie ma różnicy wysokości, żadnych gór, wszystko jest równe. Tu nic się nie dzieje, spójrzcie na powierzchnię wody. Z Pińska, z jego drewnianymi domkami można było płynąć wszędzie po świecie...»*

Kierując się na stary cmentarz, gdzie pochowano jego babcię, R. Kapuściński prowadzi swoich towarzyszy starymi uliczkami, które pamięta z odległego dzieciństwa: *«Pińsk mógł być wspaniałym miastem, rogiem obfitości. Są tu również stare drewniane domki, które stoją na skrawkach swojej ziemi i topią się w bujnej zieleni. Dawna Grodzka, obecnie Komsomolska, nadal nie jest asfaltowana. Świecą się kałuże. Tu w ogrodach wszystko rośnie, aż pęka w szwach: owoce, warzywa i ziemniaki,*



*ziemniaki ... Luksus, ale czegoś brakuje. Gdzie są róże, nagietki, nasturcje?».*

Podczas wizyty w Muzeum Miejskim R. Kapuściński, jako światowej sławy rodak, został poproszony o powiedzenie kilku słów: *«Jestem przywiązany do Pińska... Przyjazd tutaj to wielkie przeżycie... Moja babcia leży na tutejszym cmentarzu. Podczas moich podróży po świecie często spotykam ludzi z Pińska, z Polesia».*

*«Pińsk, Polesie i reszta świata są ze sobą ściśle powiązane»* – tymi słowami pisarz skończył swoje przemówienie.

TATIANA CHWAGINA, PIŃSK  
TŁUM. RED.

»»»»

## FRAGMENT WYWIADU RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO

ROZMAWIAŁA BARBARA N. ŁOPIEŃSKA

**Jak pan sobie poradzi z książką o własnym dzieciństwie w Pińsku?**

– Obrazy z dzieciństwa odciskają się w pamięci i choć zostają przykryte innymi, wciąż istnieją. I jeśli powstaną odpowiednie okoliczności, od razu się odnajdują. Przez 35 lat nie mogłem pojechać do Pińska. Mogłem jeździć do Moskwy, do Samarkandy, mogłem do Taszkientu, ale nie mogłem pojechać do miejsca swego urodzenia. Wpuścili mnie dopiero w połowie lat 70. Kiedy stanąłem na ulicy Kościuszki, od razu rozpoznałem, gdzie jestem, bo mnie tam mama zabierała na lody do restauracji Gregorowicza. Dziś ulica Kościuszki nazywa się Lenina, ale od razu wiedziałem, gdzie jest plac 3 Maja, gdzie Bernardyńska. Potem już mogłem jeździć do Pińska, kiedy tylko miałem czas.

Raz, co opisałem w «Imperium», przyjechałem i poszedłem do kościoła. Kiedy ludzie wychodzili, powiedziałem, jak się nazywam, i podeszło do mnie kilka starszych kobiet. Żadna mnie nie znała, ale pamiętały moich rodziców. Wtedy odtworzyłem sobie odrobinę mojego, przedwojennego Pińska.



Ale i tak z dzieciństwa więcej pamiętam wrażeń niż faktów.

**Pana rodzice uczyli w pińskim powszechniaku**

– Mama pochodziła z Bochni, ojciec z Kieleckiego. Polesie to tereny odzyskane przez Polskę po I wojnie światowej i państwo polskie chciało je zasiedlić, wprowadzić polską oświatę, ale nikt nie chciał tam jechać. Powiedzieli moim rodzicom, że jeśli chcą dostać pracę, to niech tam jadą i skończą seminarium nauczycielskie. Więc urodziłem się jako dziecko osadników. W latach 30. mieszkało w Pińsku 32 tysiące ludzi, w tym największy procent ludności żydowskiej na świecie, ale Pińsk był właściwie międzynarodowym miasteczkiem, jak wszystkie miasta kresowe. Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Niemcy, Żydzi, Litwini.

W małym Pińsku było pięć cmentarzy i po tych cmentarzach można się zorientować, czym był Pińsk. Cmentarz rzymsko-katolicki, prawosławny, dwa żydowskie cmentarze, bo Żydzi pińscy dzielili się na dwa ugrupowania – na Żydów pińskich i Żydów karolińskich. Jeszcze w latach 20. organizowała się emigracja do Palestyny i pierwsza generacja Żydów w Izraelu to byli Żydzi polescy. Pierwszy prezydent Izraela był z Pińska. W czasie wojny ani jeden dom w Pińsku nie został zburzony, ale ludność została zdziesiątkowana. Polska została wywieziona, rozstrzelana albo wyemigrowała, a żydowska wymordowana. Getto pińskie było drugim gettem po ukraińskim Babim Jarze, które było kompletnie zlikwidowane. W 32-tysięcznym mieście wymordowano 26 tysięcy Żydów.

**Widziałam w Internecie zdjęcie domu, w którym się pan urodził. Ładny.**

– Na pewno mieszkałem w nim od niemowlęctwa. Teraz trzy domy w Pińsku kłócą się o to, w którym się urodziłem. Kiedy rozpadł się ZSRR, chcieli ten dom zburzyć, ale zrobił się wśród Polonii białoruskiej krzyk i burzenie wstrzymano, a potem go wyremontowali i dali tablicę z napisem: «Zdies proszło dzieciwo Kapuscinskowo».

### **No i kak proszło?**

– Do wybuchu wojny szczęśliwie. Chodziłem do szkoły powszechnej numer pięć, która mieściła się przy ulicy Kościuszki numer osiem, a po szkole czeptałem się do żółek.

### **Jaka była atmosfera pana rodzinnego, kresowego domu? Bogoojczyźnianopatriotyczna strażnica polskości?**

– Nie wiem, nie pamiętam. Wyjechałem z Pińska w 1940 roku. Przychodziło do nas NKWD i wiadomo było, że jesteśmy przeznaczeni do wywózki. Mama wzięła mnie i siostrę i uciekliśmy furmankami, potem pociągiem do Lwowa, a stamtąd do Przemyśla. Ojciec, oficer rezerwy, uciekł z transportu do Katynia. Kiedy wyjechaliśmy z Pińska, po raz pierwszy jechałem koleją, a potem po raz pierwszy w życiu, kiedy miałem dziewięć lat, zobaczyłem tramwaj i miasto. Zobaczyłem w 1940 roku Warszawę. A symbolem dużego miasta był dla mnie tramwaj. Pociąg w mieście. Okupację spędziliśmy na wsi i wróciliśmy do Warszawy w 1945 roku, ale wtedy, w zburzonej Warszawie, nie było już tramwajów. Może wtedy właśnie skończyło się moje dzieciństwo?

### **No, ale czym za młodu skorupka nasiąkała?**

– Ukształtowało mnie wszystko to, co kształtuje tak zwanego człowieka kresowego. Człowiek kresowy zawsze i wszędzie jest człowiekiem międzykulturowym – człowiekiem «pomiędzy». To człowiek, który od dzieciństwa, od zabawy na podwórzu, uczy się tego, że ludzie są różni i że inność



jest po prostu cechą człowieka. Ten, który wychowuje się wśród różnych języków i zachowań. W Pińsku jeden dzieciak zabierał z domu śledzia, drugi kulebiak, a trzeci kawałek kotleta. Myśmy to wszystko razem zjadali i to był pierwszy wspólny stół. Kresowość to otwarcie na inne kultury, a nawet więcej – ludzie kresowi nie traktują innych kultur jako innych, ale jako część własnej kultury.

### **To pan dlatego jeździ po świecie, że jest człowiekiem kresowym?**

– Rzeczywiście, nigdy nic nie napisałem o Europie. Wspominam swój Pińsk jako bardzo dobre miejsce. To było miasteczko życzliwych ludzi i życzliwych ulic. Do czasu wybuchu wojny nie widziałem tam żadnego konfliktu. Miejsce bez ostentacji, bez zadęcia, miejsce skromnych, prostych ludzi. Moi rodzice jako nauczyciele też byli takimi ludźmi. Może dlatego dobrze się zawsze potem czułem w tak zwanym Trzecim Świecie, gdzie ludzi cechuje nie zamożność, ale gościnność, nie ostentacja, ale współpraca.

Ludzie żyli na Polesiu na skromną ludzką miarę, a Pińsk był jak arystotelesowska definicja miasta, w którym wszyscy się znają choćby z widzenia. To wyróżnia miasta kresowe, które stwarzały klimat przyjaźni. Wspomnienie Pińska do wybuchu wojny to wspomnienie przychylnego miejsca. Tego właśnie szukam po całym świecie.



Ołtarz główny kościoła pw. Wniebowzięcia NMP w Pińsku

## «*Ponad siedemdziesiąt pięć aniołów*»



Władimir Karatkiewicz

Nic dziwnego, że w Pińsku skrzyżowały się drogi Kazimierza Świątka i jednego z najjaśniejszych białoruskich pisarzy XX wieku – Władimira Siemionowicza Korotkiewicza

(1930-1984). Głęboki znawca historii Białorusi, twórca kryminału historycznego w białoruskiej literaturze i autor fascynujących esejów, przepętnionych imponującymi obrazami rodzimego kraju, ze szczególnym podziwem i czią odnosił się do Polesia – lubił pływać na tratwie po Prypeci i odkrywać dla czytelników niezbadane zakątki tej krainy. Do Pińska przyjechał podczas pracy nad książką «Dzwony w otchłaniach jezior» w 1969 r. Jego świeże spojrzenie na miasto i podziwianie pińskich zabytków, jego pomników i żal o utracone historyczne i kulturowe wartości, i wezwanie «... aby nie przekształcić Pińska w «czeremchy», które w każdym mieście... są jednakowe».

Tutaj, podobnie jak w przypadku trylogii «Na rozdrożu» J. Kołasa, przytaczamy cytaty z książki «Dzwony w otchłaniach jezior», gdzie w cudowny sposób przeplatają się romantyczne natchnienie, epicka narracja, uduchowiona liryczność, zagłębienie psychologiczne i filozoficzne...

«Pińsk jest jednym z moich ulubionych miast. On, podobnie jak Grodno, ma swoją fizjonomię. To miasto z wielkiej litery, a nie sobowtór różnych «czeremch», które są w każdym mieście – bez względu na to, ile ich widziałem – są jednakowe. Dlatego szkoda, że standard, a nawet niezrozumiały standard, lezie i tutaj, jakby to on był tutaj gospodarzem i panem.

Wszystko co wokół – Prypec i Pina, lasy łagodne, mokre tereny zalewowe, rozłożyste drzewa, wiszące ule na wiekowych drzewach, niejaskrawe poleskie niebo – wszystko to było, takie samo, jak za czasów Włodzimierza, który według legendy założył miasto, takie same, jak za czasów osłepienia księcia Wasilka.

Ale człowiek przez dziewięćset (a może nawet tysiące) lat nie tylko palił i niszczył, nie tylko wojował, zabijał i osłepiał – ale i budował, starannie opiekował się tą gliniastą ziemią, wiecznie dbał o piękno. Zrobił przecież na tej zwyczajnej ziemi mały

cud, z którego możemy być dumni.

... Płonął w potyczce Niababy z Radziwiłłem, płonął od rąk wojewody Wołkońskiego i żołnierzy Karola XII. Ale nieugięcie powstawał, upiększał się budynkami, kwitnęła praca swoich mistrzów i handlem. Dużo, bardzo dużo udało mu się zdobyć i zgromadzić, nie zważając na szable zdobywców. I to nagromadzone musimy nosić ostrożnie, na wyciągniętych dłoniach, jak kielich z wodą. Uważnie patrząc pod nogi, gdzieś zachowały się jeszcze święte i starożytne kamienie pińskie».

Lepiej nie można powiedzieć! Każdemu zabytkowemu obiektowi Pińska klasyk podarował osobną narrację, umiejętnie przechodząc od jego romantycznego obrazu do rzeczywistości, jakby podpowiadając, co robić, aby chronić bezcenne dziedzictwo historyczne miasta. «Dziwne rzeczy! W kościele Jezuitów chcieli zrobić browarnię. Okazało się, że jest dużo pracy przy przebudowie. Wtedy jego, mocnego, jako dąb, po prostu wysadzili w 1953 roku, a w 1954 roku rozebrali. Następnie stało się jasne, że rozebrany zespół i, na tej podstawie – jeśli już i tak nie ma zespołu – zburzono rzędy handlowe. A teraz pojawia się pomysł zrobienia browarni w ocalałym kościele Franciszkanów».

Kolegium, po przeróbce, stało się administracyjnym budynkiem: pokoje i korytarze były przestronne, wysokie, okazałe. Miejsca wystarczało na wiele, wiele biur. Latem było chłodno, zimą, przy ogrzewaniu parowym, ciepło (a jego instalacja była trudna, ponieważ ściany miały dwa metry grubości). Jakoś zrobili. Komu przeszkadza jego wygląd? Był on jednym z najlepszych zabytków Białorusi.

Opierał się na potężnych przyporach, jak na łapach. Widać go za piętnaście kilometrów zza rzeki. A jeszcze, aby otworzyć swoje arkady, usunąć stamtąd nowoczesną cegłę – byłby to Pałac Dożów. A pod arkadami zrobić – no, przynajmniej letnią kawiarnię ze starymi stolami i lampami narożnymi. To byłby zaszczyt dla Pińska i całej Białorusi».

Widząc opuszczony kościół Karola Baromeusza, dawno zamknięty i czekający na decyzję o swoim losie, pisarz był



Kościół Karola Bartołomeusza

prześiąknięty losem tego niezwykłego zabytku. Pisze: «Zbudowany przez książąt Dolskich ... dla braci komunistów (był też taki zakon, w którym wszystko, aż po łyżki, było wspólne). Trzeba zachować ten barokową zabawkę, z której każde miasto w Europie mogłoby być dumne, zabawkę, na której też nie ma tablicy upamiętniającej». Możliwe, że właśnie te słowa W. Korotkiewicza, wypowiedziane o kościele Karola Bartomeusza (1770-1782), zostały wysłuchane, i dziś mieszkańcy i goście mają możliwość podziwiać niezwykły zabytek barokowy z XVIII w., podobny do miniaturowej twierdzy, w murach której w 1990 r. była pińska sala koncertowa. >>>>



Dawny Franciszkański,  
obecnie – Seminarium

»»» Nie wszystko z tego, co ujrzał W. Korotkiewicz w Pińsku, zachowało się do naszych czasów, na jego oczach dokonana się barbarzyńska dewastacja zabytków i całej historycznej architektury zespołu miasta. Po odwiedzeniu starego cmentarza zastał jeszcze «cud architektury drewnianej, świątynię na cmentarzu, gdzie wszystko, aż do galerii, takiej typowo białoruskiej, podpartej na kamiennych słupach, jest radość i cichy smutek. Gdzie dzwony wiszą między dwiema lipami, które rosną z jednego korzenia. Wszystko tam jest radością. I wszystko jest zapuszczone». Tutaj on i jego towarzysze byli świadkami bezsensownego wandalizmu: «... Studenci potrzęsali kratami kaplicy na cmentarzu jak orangutany w klatce. Ochrona podeszła, spojrzała na nich i powiedziała jedno tylko słowo:

– Nieszczęśliwi.

I tak naprawdę, są oni nieszczęśliwi. Tacy nie mają szacunku do niczego. Nawet do słowa...»

Podczas podróży W. Korotkiewicza po Polesiu zespół dawnego klasztoru Franciszkanów w Pińsku, oprócz kościoła katedralnego, był w dyspozycji 1 Oddziału Szkoleniowego Marynarki Wojennej ZSRR. W dawnym klasztorze, gdzie w okresie międzywojennym XX wieku, mieściło się duchowe seminarium katolickie i

kuria biskupa, teraz znajdowała się kwatera główna, sale szkoleniowe i dom oficerów z salą kinową. I tylko kościół zachował swoje dawne przeznaczenie, swoją nieskazitelną wielkość i atrakcyjność: «Kościół katedralny w Pińsku jest jednym z najlepszych budynków, jakie widziałem na Białorusi. Patrząc na jego apsydę potężną jak pierś zakutą w zbroję bohatera, rodzi się w sercu coś podobnego do uczucia wielkości: nie jestem wcale małym człowiekiem, kiedy jestem potomkiem Dojlidów i murarzy, którzy mogli to zbudować!

Kiedyś, wraz z przyległym do niego klasztorem, należał do «Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych św. Franciszka». Został założony w 1396 roku przez Zygmunta Kiejstutowicza, księcia Pińska, Turowa i Staroduba, ale był wtedy drewniany. Poświęcił go biskup wileński Andrzej Wasyla. W ciągu trzech stuleci budynek przeżył trzy pożary...

Wtedy mieszkańcy podjęli się wreszcie murowania świątyni i została ona otwarta 1 maja 1730. Tak po dwieście dwudziestu jeden lat zakończyła się wreszcie ta tytaniczna praca.

Naprawdę tytaniczna. Bo jak weszli na dach..., to od widoku zapierało dech. Potężne wieże, łuskowate, jak grzbiet smoka, dach, majestatyczne spirale barokowych frontonów. A niżej, w nieosiągalnej, strasznej głębi, płatanina wąskich dziedzińców, labirynt przejść, dachy, ściany. I całe miasto, jak na dłoni i daleko daleko wiję się niebieska Prypeć.

Stropy i rama z bali, na których leży dach, są arcydziełami obliczeń inżynierskich i umiejętności, nawet teraz. Ten splot pionów, rozpórek i podpórek, rozstępów i więzadeł sprawia wrażenie, jakbyś był wewnątrz jakiejś niezwykle skomplikowanej maszyny. A jednocześnie we wszystkim widoczny jest umysł budowniczych, prostota, celowość i dokładność.

Ściany są fantastycznie grube, a dla ułatwienia, lepszego rezonansu i wentylacji cała ich grubość jest przesiąknięta studniami i drogami. Tutejsze organy zostały postawione ... przez architekta Gradzickiego, a piszczałki



dla nich z czarnego drzewa, specjalnie namoczonego i suszonego, zaprojektował wyjątkowy nasz mistrz organów Rudnicki z Wilna...

Nie wiem, jak było wcześniej, ale teraz są majestatyczne i mocne. Tak i zewnętrzny wygląd tych srebrnych rur, ciemnego złota kapitelu, wyblakło-zielonego tła głównie zaskakuje harmonią».

Wstrząśnięty wspaniałością kościoła Franciszkanów, W. Korotkiewicz złożył hołd także swojemu proboszczowi, K. Świątkowi, w osobie którego znalazł nie tylko znawcę starożytności kościelnych, ale i człowieka niezwykle wszechstronnego i zgodnego z jego poglądami na «dziezictwo historyczne»: «Prowadził nas po budynku, od zielonego dworu z czteropiętrową dzwonnica (zdejmij czapkę, bo i tak dzwonnica tobie ją zrzuci) dobry znawca ścian i w ogóle starożytnego Pińska i Pińszczyzny siwy już, dobry człowiek o uśmiechniętym i inteligentnym wyglądzie Kazimierz Świątek. Zdumiewała jego wiedza i szerokie podejście do życia. Szczególnie zaskoczeniem była prawdziwa miłość do starożytności i orientacji w niej ze współczesną miłością do techniki. To bardzo dobry fotograf, motocyklista, kiniematograf-amator (obecnie kręci film przyrodniczy Polesia), człowiek, który jest w stanie przez całą noc leżeć w lesie, tylko aby nagrać głuszcza na magnetofon.

O pomniku, o każdej rzeźbie mógł mówić godzinami, a wszystko to było interesujące i kompetentne. To on nadał nazwę temu rozdziałowi («Ponad siedemdziesiąt pięć aniołów»), powiedział, że raz przyszło mu do głowy, że jest złym znawcą i nie jest panem nad zabytkami, jeśli nie wie, ile aniołów jest w kościele. I zaczął liczyć. Figury na obrazach, na malowidłach, posągi na ołtarzu głównym i na ołtarzach bocznych. Naliczył siedemdziesiąt pięć, pomylił się i machnął ręką.

Nie da się policzyć. Więc aniołów jest ponad siedemdziesiąt pięć. A «ponad» po białorusku zdarza się, że nie mieści się w setce».

Żaden z historyków sztuki nie znalazł podobnych słów, za pomocą których W.

Korotkiewicz opisał drewniane anioły i świętych kościoła w Pińsku: «Aniołowie na ołtarzu, byli wszędzie, to nie aniołowie, ale ironiczna radość. Pulchne tyłki, okrągłe brzuszki. Wszystkie są grube i wzdęte, trochę osobiałe, jakby tylko co dobrze zjadły. Słodkie grube mordeczki (niektóre nawet z zadartym nosem), bez żadnego uduchowienia. Patrzą na świat boży ciemno-niebiesko-mętnie, jak małe szczenięta, tylko z sytą radością, że tu dobrze jest żyć». I oferta, której przez wiele dziesięcioleci nikt nie zrealizował: «Abyśmy ... setkami wydawali albumy artystyczne dla siebie i turystów – potrzebna była monografia-album «Anioły pińskiej katedry». Bardzo wartościowa i potrzebna, bardzo ciekawa może być to rzecz ... Jednym słowem, to wszystko jest wielkością, to wszystko jest sztuką, to wszystko jest nasze. I ponieważ jest to w ogóle dusza naszych przodków, mistrzów. I ponieważ ta wielkość jest naszą historią».

W. Korotkiewicz nie zdążył zobaczyć zespołu dawnego klasztoru po zwróceniu go katolickiej diecezji. Pisarz-piosenkarz białoruskich zabytków – nie dożył tych czasów, kiedy cały dawny kompleks klasztorny został zwrócony katolickiej diecezji, i nie zobaczył, jak spod warstwy tynku w galerii krzyżowej seminarium pojawiły się malowidła ze scenami z życia św. Franciszka, a centralny balkon zwrócony w stronę rzeki ozdobiła kuta krata z herbem kardynalskim Kazimierza Świątka...



TATIANA CHWAGINA  
TŁUM.RED

## *Byłem na stałe przydzielony na białoruskie Polesie*



**Jedną z najjaśniejszych postaci XX wieku, której życie i działalność ściśle związane były z Pińskiem, był pierwszy w najnowszej historii Białorusi kardynał Kazimierz Świątek (1914-2011).**

«Przede wszystkim był ofiarnym kapłanem, człowiekiem głębokiej, niezachwianej wiary i niezwykłego życia. Był optymistą z duszą romantyka, zakochany w pięknie świata stworzonego przez Boga. Był pracowolikiem i osobą kochającą życie, obdarzoną rzadkim darem ironii, która pomagała mu zawsze pozostać sobą, był prawdziwym apostołem prawdy Chrystusa. Jego los wyraźnie odzwierciedla dramatyczny los kościoła na Białorusi w ostatnim pół wieku...», – te słowa z przedmowy «Fidei testis», jubileuszowej edycji z okazji 65-lecia służby duchowej – Jego Eminencji ks. kardynała Kazimierza Świątka, najlepiej odzwierciedlają jego wieloaspektową aktywną naturę.

Kardynał K. Świątek niejednokrotnie mówił, że na początku swojej drogi życia nie myślał o powołaniu duchowym. Był absolwentem Gimnazjum w Baranowiczach w 1933 r. i marzył o Wydziale Filologii na Uniwersytecie Wileńskim ... Punkt zwrotny w jego świadomości związany był właśnie z Pińskiem. Wspominał: «*Po ukończeniu Gimnazjum w Baranowiczach pojechaliśmy całą klasą na rekolekcje do Pińska. Było to rok po śmierci pierwszego*

*biskupa pińskiego, człowieka wielkiej świętości – Zygmunta Łozińskiego. Ksiądz prefekt zaproponował odwiedzenie krypty w kościele katedralnym, w którym spoczywał biskup, i powiedział, że każdy może o coś poprosić wielkiego pasterza ... Trumna była zamurowana, ale pozostał otwór, przez który można było ją dotknąć. Kiedy nadeszła moja kolej, dotknąłem ręką bardzo zimnej trumny i zamierzałem wyjść, ale w ostatniej chwili coś mnie zatrzymało, jakby zrobiło się niezręcznie z powodu mojego pośpiechu... Wróciłem, przeczytałem «Ojczyzna nasza» i znowu dotknąłem trumny. W tym momencie nie wydawała się już taka zimna. «Biskupie Łoziński», – mam do biskupa dwie prośby: żeby przez całe życie był wiernym sługą Chrystusa (zrozumiałe, że jako człowiek świecki, ale wierny Bogu), i aby moja mama żyła jak najdłużej».*

*Okazało się, że obie te prośby biskup Łoziński wysłuchał. Moja mama żyła 91 lat..., wychodząc z podziemi pińskiego kościoła katedralnego, uwierzyłem, że zostanę księdzem. Ja i do dziś nie mogę do końca zrozumieć tego przełomu, który nastąpił w moim życiu».*

Jeszcze podczas studiów w seminarium przyszły kardynał zaprzyjaźnił się z Pińskiem na wieki.

Po ukończeniu seminarium w pińskim kościele katedralnym, święcenia kapłańskie przyjął 8 kwietnia 1939. Został mianowany wikariuszem w Prużanach, przeżył kilka odsiadek w więzieniu i dziesięć

lat zesłania do obozów stalinowskich (Mariińsk, Workuta, Inta). Do swojego ukończonego Pińska przyszedł kardynał powrócił w 1954 r. i aż do śmierci nie rozstawał się z miastem nad Piną: przez około pół wieku służył w pińskim kościele katedralnym, a po wielu latach stał się arcybiskupem, metropolitą mińsko-mohylewskim, apostołskim administratorem diecezji pińskiej, a w wieku 80 lat – kardynałem.

Życie kardynała Kazimierza Świątka mieści w sobie lata prób i niedostatku, gorzkie doświadczenie Gułagu i codzienne przeciwdziałanie z brakiem duchowości. Jego ogromny wkład w odrodzenie Kościoła na Białorusi jest uznawany w ojczyźnie i na całym świecie. Dziedzictwo duchowe kardynała jest nierozzerwalne i od jego twórczego dziedzictwa – serii dokumentalnych filmów nakręconych przez niego według własnych scenariuszy pół wieku temu – w latach 1960-1970. Jednym z nich jest «Pińsk – stolica Polesia» (1968). Tutaj proboszcz kościoła w Pińsku pojawia się jako profesjonalny i utalentowany dokumentalista filmowy, który umiejętnie wybiera zakątki miasta, w najlepszy sposób ujawnia jego piękno i wyjątkowość, z uśmiechem i dobrym humorem pokazuje sceny domowe na ulicach Pińska i przy tym opowiada jak profesjonalny przewodnik. Tak wypowiedział się o tym filmie białoruski reżyser Jurij Gorulew.

Swoją miłość i przywiązanie do Pińska i Polesia kardynał nie ukrywał: «*Prawdopodobnie, w trudnych latach mojego życia boże prowadzenie przesądziło tak, aby podziękować mi za to, że wytrzymałem... Dlatego ono obudziło we mnie uczucie miłości do natury, a żeby jeszcze to uzupełnić – dało mi Polesie. Byłem na zawsze przydzielony na białoruskie Polesie. I jak wszedłem w to piękno, tak prawie utonąłem tam w nim, na bagnach pińskich.*

TATIANA CHWAGINA  
TŁUM.RED



**W ciągu minionych stuleci zmieniło się niejedno pokolenie, ale miłość do rodzinnego miasta wśród mieszkańców Pińska – potomków Poleszuków Pińczuków jest niezmienna, zawsze była i pozostanie ich życiowym rdzeniem.**

Na potwierdzenie tego, na początku głównej ulicy Starego Miasta (w przeszłości Wielkiej Spasskiej, Wielkiej Franciszkańskiej, Wielkiej Kijowskiej, Tadeusza Kościuszki, a obecnie Lenina) mieszkańców i gości wita rzeźba z brązu. To jest «Pińczuk» – rodowity, z dziada pradziada «obywatel» Polesia pińskiego, taki sam, «nadzwyczaj poważny, a nawet dumny», jakim zobaczył jego bohater trylogii J. Kołasa «Na rozdrożach» nauczyciel Lobanowicz w pierwszym dniu swojego przybycia na pińskim rynku.

Ta barwna postać pełna jest poczucia własnej godności i dumy ze swojej małej ojczyzny. Wskazując na swój zgięty mały palec, jakby wypowiada słowa: «Po pierwsze, jestem z Pińska...», którymi tradycyjnie «naprawdę pińczuk» zawsze zaczynał znajomość z nietutejszymi – «zwyczajnymi» ludźmi. Sądząc po stroju – solidnym, ręcznie robionym zwoju, przepasanym plecionym pasie – słomkowym kapeluszu i skórzanych butach, nasz pińczuk żyje w pełnym dostatku, ubrany jest jak typowy miejscowy szlachcic i stoi z godnością.

Rzeźba «Pińczuk» zdobiąca Stare Miasto to zbiorowy wizerunek męskiej populacji okolic pińskich. Powstał z wieloletnich obserwacji i trafnych cech, które dotarły do nas dzięki znanym osobom, które odwiedziły Polesie w różnych latach i obserwacjom zwykłych ludzi mieszkających w sąsiedztwie z pińczukami. Autorem «Pińczuka» jest brzeski rzeźbiarz Aleksiej Pawluczuk, który wcielił do swojego dzieła nie tylko zewnętrzne cechy, które podpowiedziały mu liczne fotografie Poleszuków wykonane w okresie przedwojennym XX wieku, ale także wyraził istotę – prawdziwą i gorącą miłość Poleszuków Pińczuków do swojej małej ojczyzny.

TATIANA CHWAGINA  
TŁUM.RED.



## DROGI WOJENNE

### Telesfora Kaczmarka

#### Relacja Telesfora Kaczmarka

### «Zostały tam tysiące Polaków»

Wojennych przeżyć Telesfora (Maćka) Kaczmarka w Związku Radzieckim przez długie lata nie znali nawet jego najbliżsi. W niektórych rodzinach tak było: traktowano wojnę jako zamknięty etap, nie rozmawiano o niej, nie rozdrapywano ran. Wierzono w uzdrowicielską moc czasu. Kiedy Telesfor (Maciek) żył, niebezpiecznie było mówić zresztą mówić o pewnych sprawach.

Blisko pół wieku po śmierci ojca do publikowanej tu relacji dotarł syn Stanisław. Tekst został spisany 29 kwietnia 1943 r., najprawdopodobniej w Iraku. Niektóre pytania nie mogły mieć wtedy odpowiedzi: czy Telesfor

spotka jeszcze kiedyś żonę wywiezioną w 1940 r. do Kazachstanu, czy szlak armii gen. Andersa, który rozpoczął ponad rok wcześniej, zaprowadzi go kiedyś do Polski. Niektóre pytania, jakie stawiał, na przykład: co się stało z 80 policjantami z Pińska, których wywieziono do obozu w Ostaszku, swą odpowiedź miały, ale jej jeszcze nie znano.

Pracowałem jako skromny urzędnik w Kasie Urzędu Skarbowego w Pińsku. Pińsk, stolica Polesia na wschodnich rubieżach Polski, liczył wtenczas, a było to w sierpniu 1939 roku, 35 tysięcy mieszkańców.

Wszyscy byli obywatelami polskimi, a



narodowościowo przeważali Żydzi (ok.60%). Reszta to Polacy, Białorusini, a właściwie Poleszacy. Zastanawiałem się nie raz, dlaczego tak często określano Poleszuka jako Białorusina, bo przecież z nim się spotykałem i rozmawiałem, a on nic o sobie inaczej nie mówił, jak tylko «ja tutejszy, panoczku» albo «ja Pińczuk».

Często też wyciągano z jakiejś metalowej lub drewnianej tuby stare pergaminy z dumą pokazywano mi je i szczycono się nimi. Były to różne przywileje nadane poszczególnym osobom lub też całym gromadom przez królów polskich jak Zygmunta Starego, królową Bonę, a więc w wieku XVI. Ale odbiegam od tematu.

Pracuję spokojnie, lecz przeczuwam jakieś nieszczęście. W Urzędzie jakieś specjalne zarządzenia. Gazety nerwowe, radio też

często podaje jakieś sensacje, jakieś narady, jakieś mowy. Wszędzie i często mówi się o tym, że Niemcy chcą napaść na Polskę.

Ale otoczenie moje jest spokojne. Burza wisi w powietrzu. Opada dnia 1 września 1939 r. W dniu tym Niemcy bombardowały całą Polskę. Bolesne to dla nas, lecz pracujemy spokojnie dalej i tylko chciwie słuchamy komunikatów i cieszymy się każdym naszym zwycięstwem i smucimy się, gdy nam mówią coś niedobrego.

Ogromna radość, kiedy Anglia i Francja dnia 3 IX 39 roku wypowiedziały wojnę Niemcom. Tymczasem przez Pińsk przejeżdżają setki aut. Widać, że tam na zachodzie chaos. Wszystko wycofuje się na Kresy Wschodnie. Przeważnie kobiety i dzieci. Lecz w Pińsku spokój – funkcjonują wszystkie urzędy i fabryki, pracuje LOPP »»»

Przed starostwem powiatowym w Pińsku, 2. z lewej Telesfor Kaczmarek, 1934 r.

Zuzanna i Telesfor Kaczmarkowie na ulicach Pińska. Na zdjęciu z prawej, z sierpnia 1939 r., jest z nimi szwagier Zuzanny Kazimierz Łosin, który w 1940 r. zginął w zbrodni katyńskiej.



»»» [Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – przyp. red.], z poświęceniem pracuje Policja. Dwukrotny nalot bombowy nie robi też wielkiego wrażenia – może dlatego, że był niecelny i w małym zakresie.

Aż nagle wieść najsmutniejsza: Sowietci napadają na Polskę z tyłu. Cios dla nas najboleśniej. Różnie to ludzie przeżywali, a mnie ciężko mówić o sobie, lecz czuję to jeszcze dzisiaj. Po prostu z nadmiernego wrażenia doznałem uczucia kompletnej bierności, zupełnego zobojętnienia.

Pogłoska ta rozeszła się 17 IX 39 r. Różne ciemne elementy, bandyci itp. od tego dnia zaczynają krążyć wokół miasta, oczekując zmierzchu, aby napaść i rabować. Policja wzmocniona rezerwistami, posiłkami z powiatu oraz utworzona milicja obywatelska dzielnie przeciwstawia się bandom. Najgroźniejszą jest sytuacja wieczorem 19 września. Zaczynają się rabunki. Na szczęście ratuje stan ten grupa ludzi z urzędniczką magistratu Reginą Chodoniuk, która rzuca plotkę, że w Niemczech rewolucja, Włosi zawarli przymierze z Anglią etc. Wiadomość tę rozpowszechnia się przez megafony i tym sposobem ocala się miasto od grabieży i mordów.

W mieście cisza, ludzie czegoś oczekują pochowani na swych podwórzach. Cisza ta niedługo trwała, bo nagle rozległy się strzały oraz ogromny wstrząs. Jak się okazało, kompania naszych marynarzy [z Floty Pińskiej – przyp. red.], która stała pod murami kościoła jezuitów, oddała kilka strzałów z ręcznych karabinów do czołgów sowieckich, które ukazały się od strony Łunińca i posuwały się ulicą Kościuszki.

Czołgi zatrzymały się i zaczęły ostrzeliwać ze swych dział kościół. Marynarze tymczasem opuścili miasto, wysadzając most na Pinnie. Wkrótce też zapalił się dach na kościele i świątynia, w której kiedyś żył i nauczał św. Andrzej Bobola, spłonęła. Pozostały tylko mury i dumnie sterczące wieże z krzyżami, do których wojska sowieckie strzelały bezskutecznie przez całą noc. Zemścili z tego powodu na soborze prawosławnym, do którego zaczęli strzelać w dwa dni później i spalili go doszczętnie.

W dniu następnym po wkroczeniu wojsk sowieckich do Pińska udałem się na miasto. Zobaczyłem ogromne kolumny wojsk sowieckich. Przeważnie broń pancerna. Ubrani byli biednie. Jako szczegół przytoczę buty, które były z brezentu albo ze świńskiej



Pińsk – kolegium i kościół jezuitów, 1936 r.  
Źródło: Fotopolska

skóry o podeszwach gumowych. Z wielkim apetytem zajadali suchy czarny chleb. Zdumionymi oczami patrzyli na naszą ludność ubraną czysto i schludnie.

A muszę nadmienić, że każdy w dniu tym starał się ubrać jak najskromniej – po prostu dlatego, aby nie narazić się na miano burżuazji, którego, wiedzieliśmy z różnych książek, Sowieci nienawidzili. Sklepy były pozamykane, z okien wystawowych wszystko pousuwane. W ogóle ulice straciły swój wygląd zwyczajny.

A mimo to miasto robiło na żołnierzach sowieckich wrażenie świątecznego, co było widać z ich min oraz z ich własnych opowiadań. Powracając jeszcze do momentu wkroczenia Czerwonej Armii, muszę dodać, że nad miastem krążyły samoloty sowieckie, które rzucały ulotki z mową Mołotowa o decyzji «oswobodzenia» Zachodniej

Białorusi i Ukrainy od ucisku panów i wyzysku kapitalistów.

Nazajutrz kupcy przystosowali się do rozporządzenia władz sowieckich i otworzyli sklepy. I teraz można było oglądać komiczne sceny. Wojskowi wszystkich stopni zaczęli kupować wszystko, co jeszcze z resztek pozostało. A więc manufakturę, bieliznę, jedwabie, całe naręczka kiełbas i słoniny, zegarki i śledzie. Wszystko to wysyłali do swych rodzin. W restauracjach na jednego człowieka zamawiali od razu po pięć obiadów i kilkanaście szklanek herbaty.

Jak się później okazało, ludzie ci byli przyzwyczajeni do tego, że należy od razu kupować wszystko, bo za chwilę nie będzie już niczego. I rzeczywiście, w parę dni po tym, gdy sklepy opustoszały, miasto przedstawiało się jakby kompleks budynków bez żadnego życia. »»»



Pińsk – hale targowe,  
1936 r. Źródło:  
Fotopolska

»»» Tylko co pewien okres raz lub dwa razy w miesiącu można było widzieć ogromne kolejki ludzi przed magazynami tzw. «kooperatywami», tworam i już sowieckiego ustroju, których na miasto Pińsk

było coś 12. Ludzie ci stali na mrozie lub deszczu przez 24 godziny, a czasem i dłużej, aby móc kupić kilo cukru lub litr oliwy rzepakowej. To było dla proletariatu, bo dla wybrańców, czyli dla ludzi tzw. partyjnych

Panorama Pińska z  
rzeką Piną, 1936 r.  
Źródło: Fotopolska







Ulica w Pińsku, 1936 r.  
Źródło: Fotopolska

oraz dla funkcjonariuszy NKWD, były specjalne sklepy tzw. «spectorgi», gdzie mogli zaopatrywać się we wszystko w każdej chwili i po niskiej cenie.

Zaraz po ogłoszeniu, że należy zdawać wszelką broń, poszedłem na posterunek Policji Państwowej z karabinem, który posiadałem jako członek Straży Obywatelskiej. Karabin zdałem sowieckiemu podoficerowi i już miałem opuścić budynek, tymczasem przyskakuje do mnie jakiś wyrostek i charkając, plując, krzyczy do owego podoficera, mieszając wyrazy polskie, ruskie i żydowskie, że należy mnie aresztować, bo jestem Polakiem, burżujem i krwiopijcą, swołoczą, urzędnikiem i jeszcze tam czymś – już nie pamiętam.

Podoficer ten zaskoczony takimi oskarżeniami aresztuje mnie, robi rewizję, zabiera legitymację urzędniczą, papierośnicę i 12 zł., których to przedmiotów już więcej nie zobaczyłem, i odsyła mnie wraz z jeszcze kilkoma podobnymi przestępcami w osobach Biruli Zenona – również urzędnika skarbowego, Canarisa – właściciela majątku oraz urzędnika z firmy Gregorowicz.

Pod silną eskortą z bronią na ostro prowadzi nas czterech przestępców aż 8 «boj-ców». Przeprowadzono nas do Szkoły Po-wszechnej na ul. Traugutta, gdzie znowu oddano pod silną straż. Tutaj spotykam około 80 naszych policjantów stłoczonych do dwóch sal. Wierni ci stróże porządku pu-blicznego mieli okazję uciekać, lecz chronili miasto do ostatniej chwili przed rabunkiem i bandami.

Zmienili ich dopiero sowieccy żołnierze, tylko nie poszli jak normalnie po służbie do swych domów, a po prostu zaarrestowano ich i trzymano pod silną strażą. Mnie i mo-ich kilku kolegów po krótkich badaniach [przesłuchaniach – przyp. red.] zwolniono nazajutrz. Puszczono nas tylko dlatego, że byliśmy w cywilnych ubraniach. Natomiast tych osiemdziesięciu wywieziono transpor-towym samochodem do więzienia. Później dowiedziałem się, że przewieziono ich do znanego obozu w Ostaszkowie, a tam już ślad po nich zaginął. Dowiadywałem się o nich i pytałem ich rodzin. Nie ma z nich ani jednego. [Dzisiaj wiadomo już, że zostali za-mordowani w piwnicach więzienia w »»»

1038/21 10638/5

1. Nazwisko i imię **KACZMAREK TELESFOR** **plut.pancz.**

2. Rok urodzenia **1910** 3. Narodowość \_\_\_\_\_ 4. Wzrost \_\_\_\_\_ 5. Zawód **URZĘDNIK**

6. Miejsce stałego zamieszkania w Polsce \_\_\_\_\_

7. Miejsce ostatniego pobytu w Polsce: a) na wolności **PINSK WJ. POLESKIE**  
b) po podległości wojskowej **PINSK, BRZEŚĆ WJ.**

8. Przyjęcie opuszczenia Polski **WIEJEW**

9. Data podległości wojskowej **1.8.1940** 10. Data opuszczenia Polski **22.1.1941**

11. Miejsce pobytu w ZSRR przed wojną:  
a) w okresie \_\_\_\_\_  
b) w okresie \_\_\_\_\_  
c) w okresie pracy **MARKUTKI, SIBIU-MARKA, PIECZORĘBO nad USR.**  
d) w posiadaniu \_\_\_\_\_  
e) w innych miejscach pobytu \_\_\_\_\_

12. Miejsce pobytu w ZSRR po wojnie: **KARAGAJAZSKA A.S.S.R.** 13. Data zwolnienia **16.11.1941**

14. Zatrudnienie w ZSRR: a) w okresie jefitów \_\_\_\_\_  
b) w okresie pracy **PRACE ZIEMNE (ROBOTNIK)**  
c) w posiadaniu \_\_\_\_\_  
d) w innych miejscach pracy \_\_\_\_\_

2038/21 10638/5

15. Odbiorca rodziny wyznaczonego: **ZONA, SYN, SZWAHERKA**  
(nazwisko, imię, nazwisko, data i adres i powołanie)

16. Odbiorca rodziny pozostał w ZSRR:  
a) imię **ZONA, SYN, SZWAHERKA**  
b) adres \_\_\_\_\_

ARCHIWUM PAŃSTWOWE

Karta identyfikacyjna,  
Archiwum Akt Nowych

»»»» Kalininie (obecnie Twer) i pochowanych w Miednoje – przyp. red.].

Stopniowo też zaczęły się aresztowania. Brano ludzi z różnych sfer. Stosowano różne sposoby – pod tym względem byli mistrzami. Albo w nocy z otoczeniem domu, albo na ulicy, albo przy pracy lub też przez wezwanie do stawienia się w jakimś urzędzie po paszport względnie udzielenia jakiejś informacji. Tylko, że nikt prawie, kto został wezwany na małą chwilę, więcej nie wracał. Życie stawało się coraz nieznośniejsze. Pomimo to słuchało się radia, czekało się na dziennik z Londynu. Stale było się inwigilowanym.

Dużo ludzi przekraczało granicę i chroniło

się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Nosilem się i ja z tym zamiarem. Uchroniło mnie od tego dziecko, którego nie chciałem narazić przy przekraczaniu granicy podczas srogiej zimy.

Nie pracowałem nigdzie, bo nie mogłem pogodzić się z myślą, że mam takim ludziom pomagać w budowaniu ich nienaturalnego ustroju. Urządzali różne wiece, tzw. mitingi. Nie chodziłem na nie. Byłem tylko dwa razy z musu, albowiem przedstawiono mi imienną listę obecności. Pamiętam jakieś szumne a puste hasła, jakieś kłamstwa rzucane niby dla dobra mas i proletariatu.

Opowiadano, jak to w Polsce ludzi męczono, że panowie zapędzali do pług robotników i inne bzdury. Wesołe też nieraz były repliki i wymówienia się prostego ludu po takich wiecach. A więc raz jakiś stary chłop poleski odpowiedział mniej więcej tak; «Da, da, Polaki nas męczyli i dławili chlebem, sałom i sacharom» [słoniną i cukrem – przyp. red.] lub też powtarzano: «Sierp i młot – chołod i gołod» [chłód i głód], albo «oswobodzili nas, ale od ubrań, chleba i cukru» itd.

Ogłoszono też wybory na kandydatów do Ogólnego Zgromadzenia Deputatów w Mińsku i Moskwie. Kandydat był jeden. Od głosowania nikt się nie mógł uchylić. Kandydat był wyznaczony przez władze sowieckie. Głosować musiał każdy, bo sporządzono dokładne listy wyborców i po wrzuceniu kartki do urny należało podać swoje nazwisko, które było skrzętnie odnotowane. Kto uchylił się od głosowania, był aresztowany. Była to właściwie parodia wyborów wymuszona strachem i terrorem.

Cała obsługa wyborów prócz przedstawicieli sowieckich składała się z tych elementów, które przedtem chciały rabować miasto. Podobnie było, jeśli chodzi o ludzi, którzy teraz zajmowali różne odpowiedzialne stanowiska. Ludzie ci prześladowali wszystko, co było kulturą, i wydawali wszystkich, którzy w Polsce zajmowali jakieś stanowisko względnie byli niczym innym jak tylko lojalnymi obywatelami.

Dnia 1 marca [1940 r. – przyp. red.]



Siostry Domańskie:  
Zuzanna Kaczmarek  
i Jadwiga (później  
Kozłowska)

spotkała ta przyjemność i mnie. W nocy ok. 0.30 [z 1 na 2 marca] obstawiono dom milicją i silnym pukaniem kazano mi otworzyć drzwi. Po otwarciu drzwi wszedł do mieszkania funkcjonariusz NKWD, tzw. «śledowatiel» [śledczy], oraz dwóch milicjantów. Splądrowali całe mieszkanie, zabrali dokumenty osobiste, rodzinne fotografie, pieniądze, zmusili do podpisania nakazu aresztowania i nie pozwalając pożegnać się z rodziną, wsadzili do karetki, tzw. powszechnie «hapun» lub «czorny woron», i zawieźli do lochów gmachu NKWD.

Tutaj – po dokładnej rewizji, rozebraniu do naga, zaglądaniu w każdą część ciała, pucinanemu nawet wszystkie guziki, zerwano medalik święty i podeptano go – zamknięto mnie do betonowego lochu, nieopalanego, wilgotnego bez żadnego sprzętu. Byłem zmaltrretowany, zresztą nie tylko ja, bo i tysiące innych takich przestępców. Tak samo jak z mężczyznami obchodzono się i z kobietami. Po jakiejś godzinie zaprowadzono mnie na piętro do jasno oświetlonego pokoju. Za stołem siedział oficer NKWD, poprosił uprzejmie, żebym usiadł i zaczął częstować papierosami. Pierwsze pytanie: jaką funkcję pełniłem w organizacji antysowieckiej i

ostrzeżenia, abym mówił prawdę, bo w przeciwnym razie mnie złamie. Następnie wyciągnął z szuflady jakiś plik zapisanego papieru pokazał mi to i uprzedził, że wszystko już dokładnie ma o mnie opisane. Wyczułem, że to fałsz i zaprzeczyłem wszystkiemu. Na to do pokoju weszło na jakiś znak jeszcze dwóch oficerów NKWD i zaczęto stosować różne metody. A więc przykładanie mi rewolweru do głowy, bicie po twarzy, kopanie w kostki nóg, stawianie w pozycji nieruchomej przez kilka godzin itd. Zadawano po tym różne oskarżenia, że byłem patriotą polskim, że byłem oficerem, konfidentem, że chodziłem za granicę, że posiadałem broń ukrytą i jeszcze moc innych zarzutów, których nie pamiętam. Śledztwo odbywało się przeważnie w nocy w przeciągu trzech miesięcy do końca maja 1940 r.

Ostatecznie zasądzono mnie na 8 lat przymusowych robót i wysłanie do obozów za należenie do organizacji antysowieckiej – tak brzmiało w wyroku zaocznym. W rzeczywistości zasądzono mnie tylko za to, że byłem Polakiem.

Odesłano mnie do więzienia w Pińsku. W międzyczasie jeszcze przed ukończeniem śledztwa 13 kwietnia 1940 r. »»»

»»»» wywieziono żonę moją [Zuzannę z d. Domańską – przyp. red..] z synkiem [Karol, 6 miesięcy] oraz siostrę żony [Jadwigę Domańską] wraz z tysiącami innych nieszczęśliwych rodzin. Dowiedziałem się o tym od aresztowanego później znajomego mego.

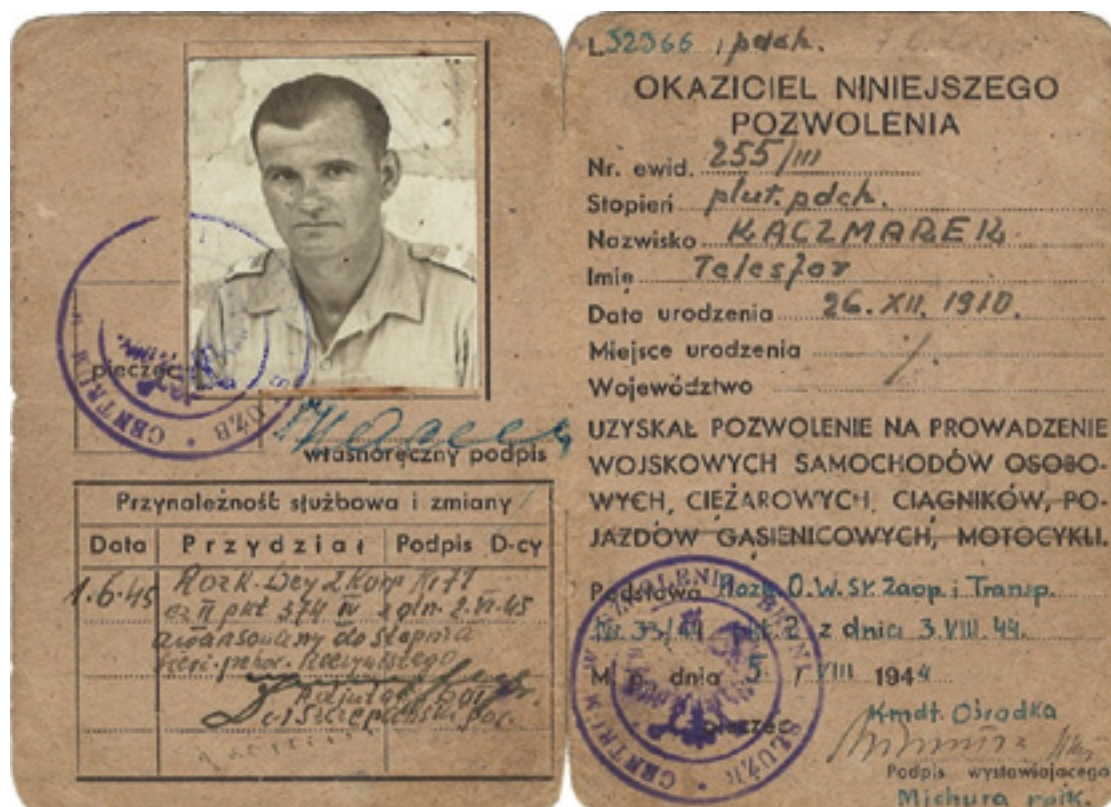
Łączności ze światem żadnej, byliśmy jak ludzie umarli. Później dopiero po amnestii w czerwcu roku 1942 r. dowiedziałem się, że zona moja znajduje się w Akmolińskiej Obłast, rejonie Aryk-Bałyk, wieś Konstantynowka.

Jeśli chodzi o życie w więzieniu, to było nudne. Dni były urozmaicone tylko tym, że wprowadzano ludzi nowych, którzy nas informowali, co się działo na zewnątrz murów. Pożywienie składało się z litra zupy zaprawionej kaszą jaglaną, 600 gramów czarnego mokrego chleba, litra gorącej wody i 2 dag cukru. Zupa czasem na słonej, zepsutej rybie lub ze słonymi źle oczyszczonymi jelitami bydlęcymi. Nastrój tragiczno-komiczny, samopoczucie wysokie. Każdy prawie wierzył, że ustrój taki długo nie potrwa, że całego wyroku nikt nie wysiedzi. Wszyscy się modlili za swe rodziny.

Ludzie różni – przewaga małorolnych i robotników, przestępcy polityczni i kryminalni razem. W celi obliczonej na 30 ludzi było 120 i więcej. Gorąco, bród, robactwo i zaduch okropny. Zmarli: śp. Morgentaler – były prezydent Pińska, Śląski – obywatel m. Pińska, restaurator, inż. płk .Głazek, adwokat Obuchowicz. To tylko kilku, o których wiem, a w rzeczywistości zmarło o wiele więcej z wycieńczenia i głodu.

Od 3 października 1940 r. – więzienie w Brześciu nad Bugiem, 22 maja 1941 r. ogólny transport w nieznaną. Podróż trwała 45 dni w wagonach bydlęcych silnie ubezpieczonych. Przez całą drogę karmiono nas słoną rybą i czarnym chlebem w małej ilości 400 gramów dziennie. Wodę dawano rzadko, czerpaną z rowów przytorowych.

W naszym wagonie zmarł Żołudziejewski z Grodna. Droga od granicy do końca podróży usiana była obozami koncentracyjnymi. Zawieziono nas do Workuty pod 66 stopień szerokości północnej. Po paru dniach wrócono mnie o 150 km nad rzekę Usę do miejscowości Siwa Maska. Tutaj umieszczono naszą «brygadę» roboczą w ziemiankach,





Telesfor Kaczmarek  
– żołnierz Armii  
Polskiej na Wschodzie,  
Palestyna, 1943 r.

gdzie pluskwy, szcury i masa komarów oraz muszek zwanych meszkami, wszystko to dręczyło nas niezmiernie, wysysając resztki rozwodnionej krwi. Żywiono znowu wodnianką, względnie owsem. Chleba dawano 700 gram, jeśli się wypracowało tzw. normę, np. na człowieka przypadano wykopać 8-10 m<sup>3</sup> ziemi lub ładować względnie rozładować barkę z drzewem około 1000-tonowa na 30, względnie przenosić 200 metrów 70 worków 80-kilogramowych z mąką na dzień.

Pracowaliśmy i spaliśmy w tych samych łachmanach., stale pod nadzorem straży ze specjalnie tresowanymi psami. Głód panował taki, że niektórzy jedli różne odpadki znalezione na śmietnikach lub niedojrzałe jagody leśne. Nogi puchły, otwierały się rany – zynga. Często ktoś umierał, a jeśli miał złote zęby, to przyśpieszano mu śmierć. Zmarli śp. bosmat Małek, kasjer z Pińska Stępniewski, ppor. Moczydłowski. To tylko nieliczni, o których mogę powiedzieć z całą pewnością. A przecież zginęło tysiące innych, o których śmierci nic nie wiadomo.

Wreszcie radość ogromna – umowa polsko-sowiecka w sierpniu 1941 r. Zwalniano nas grupami. Ja zostałem zwolniony

16 września 1941 r. Z tego samego miejsca koledzy wyjeżdżali dopiero w marcu 1942 r. Zwolniono nie wszystkich, tysiące tam zostało, jeśli do dziś dotrwali żywi. Dano nam możliwość zakupienia troszkę prowiantu i skierowano do Buzułuku [miasto w europejskiej części Rosji, w latach 1941-42 siedziba dowództwa i sztabu formującej się Armii Polskiej w ZSRR – przyp. red.]. Jechaliśmy i w barkach i w wagonach, na wagonach i szliśmy setki kilometrów pieszo.

Wreszcie w połowie października 1941 r. przywieziono nas, lecz nie do miejsca tworzenia się Armii Polskiej, lecz nad morze Aralskie. W czasie drogi otrzymaliśmy po 400 gram chleba albo nic. Jechały z nami rodziny z dalekiej północy. Znowu trupy, znowu dzieci zmarłe z głodu, wrzucane do rzeki Amu-Daria.

Nad morzem Aralskim umieszczono [nas] w kołchozach jako ludzi już wolnych. Lecz w kołchozach to samo, za wykonanie normy 600 gramów chleba, względnie 400 gramów prosa i 200 gram rzepy. To samo otrzymywali obywatele sowieccy. Kto był sprytniejszy, żył dlatego, że uprawiał nielegalny handel względnie kradł barany na pastwiskach.

Wreszcie w dniu 22 lutego 1942 »»»»

W 2 Korpusie Polskim we Włoszech, 1945 r. w Wenecji, przed bazyliką św. Marka



»»» r. wstąpiłem do Armii Polskiej. Było to w Czok-Pak w południowym Kazachstanie. Przełęcz górską z wiecznymi śnieżycami. Ludzie napływali tłumnie wynędzniali i kładli się pokotem na tyfus plamisty, który przynieśli ze swej nieszczęsnej włóczęgi. Zachorowałem i ja tutaj, ale Bóg miał mnie w swojej opiece. Żyję i jestem zdrow.

Widziałem Rosję w czasie pokoju i w czasie wojny. Przejechałem ją od dalekiej północy po morze Kaspjskie. Wszędzie zawsze widziałem tylko nędzę i ludzi w łachmanach. Rozmowa toczyła się zawsze na ten sam temat: gdzie sprzedają chleb, gdzie i ile chleba dają za normę itd.

W obozie pracowałem z człowiekiem, który opowiadał mi, jak w roku 1932 w okolicach Saratowa nad Wołgą kupował mięso ludzkie i jadł je z głodu. Kiedyś jeszcze w Polsce słyszałem o tym, lecz nie chciałem wierzyć. Później dopiero przekonałem się, że to wszystko, co pisano o Sowietach, było za mało, widziałem gorsze rzeczy, których nie da się opisać.

Dzisiaj znajduję się w Armii Polskiej,

niczego mi nie brak. Powiniennem być szczęśliwym. Niestety, tam w Rosji w Akmolińskiej obłasti, rejonie Aryk-Batyk, sioło Konstantynowka znajdują się moja żona, mój synek. Zostały tysiące polskich obywateli, którzy płakali na widok polskiego żołnierza, którym pozostała tylko modlitwa i wiara, że Bóg i Rząd nasz o nich nie zapomną. Oby tak się stało.

**Telesfor Kaczmarek**  
OPR.RED.

ŹRÓDŁO: REGIONSZAMOTULSKI.PL

## TELESFOR KACZMAREK – BIOGRAM

**Telesfor (Maciek) Kaczmarek** urodził się w Szamotułach 26 grudnia 1910 r. Jego rodzic: Jan (z zawodu murarz) i Anna z domu Konieczna mieli czworo dzieci: dwóch synów i dwie córki. Telesfor był z nich najstarszy.

Ukończył Gimnazjum im. ks. Piotra Skargi w Szamotułach, w 1930 r. zdał maturę. Następnie odbył obowiązkową służbę wojskową: najpierw w Szkole Podchorążych Piechoty w Jarocinie, a następnie w 58 Pułku Piechoty w Poznaniu (IX 1930-IX 1931). Wrócił do Szamotuł, ale w latach kryzysu gospodarczego trudno mu było znaleźć pracę. W czasie kampanii zatrudniany był w szamotulskiej cukrowni, okresowo pracował też na poczcie. W 1933 r. otrzymał pracę w Urzędzie Skarbowym w Pińsku (woj. poleskie, obecnie Białoruś).

Praca urzędnicza wiązała się ze stabilizacją. Dzięki koleżance z pracy – Marcie Łosin poznał jej młodszą siostrę Zuzannę Domańską (urodzoną w 1912 r. w Żelechowie), która prowadziła dom Łosinów. Pobrali się w sierpniu 1936 r. W październiku 1939 r., już po zajęciu tej części Rzeczypospolitej przez ZSRR, urodziło się ich pierwsze dziecko – syn Karol.

1 marca 1940 r. – jako polski urzędnik – został aresztowany przez NKWD. Śledztwo z użyciem brutalnych metod trwało 3

miesiące. 30 grudnia 1940 r. zaocznie skazano go na 8 lat obozu pracy za rzekomą przynależność do organizacji antysowieckiej. Jeszcze w czasie trwania śledztwa, 13 kwietnia 1940 r., jego żonę, razem z synem i siostrą Jadwigą Domańską, wywieziono do Kazachstanu.

Telesfor Kaczmarek był przetrzymywany do 22 maja 1941 r. w więzieniu w Brześciu nad Bugiem, a następnie przez kilka miesięcy pracował w obozie pracy na północy Rosji nad rzeką Usą (Workuta, Siwu-Maska i Pieczorąg). Zwolniony z obozu we wrześniu 1941 r. po porozumieniu rządu polskiego na emigracji z rządem radzieckim i amnestii (rehabilitacja nastąpiła dopiero po blisko 40 latach – 7.09.1989 r.).

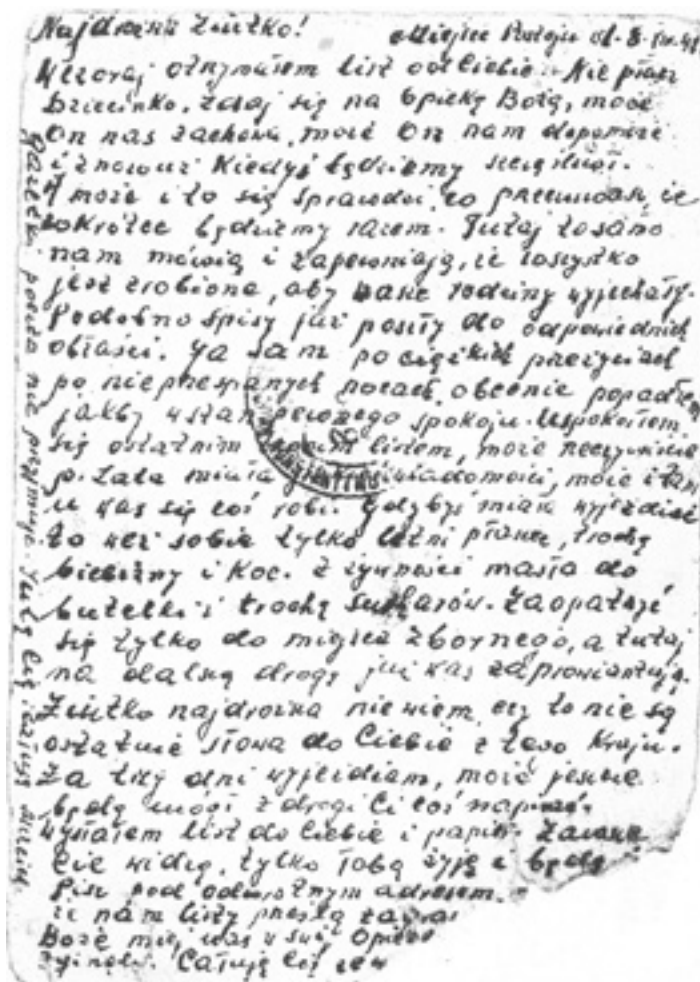
Do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR udało mu się wstąpić 22 lutego 1942 r. na terenie Kazachstanu (miejscowość Szakpak); początkowo został wcielony do 24 Pułku Piechoty (w ramach 8 Dywizji Piechoty) Dopiero dzięki listom wysyłanym z wojska do przedstawicielstw polskiej ambasady w maju 1942 r. poznał miejsce pobytu rodziny i nawiązał kontakt z żoną. Armia gen. Andersa w tym czasie przebywała już w republice uzbeckiej w Azji Środkowej, a Telesfor Kaczmarek przydzielony był wówczas do Kompanii Administracyjnej Centrum Wyszkozenia Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR (miejscowość Wrewskoję). W zachowanym liście do żony z 8 VIII 1942 r. pisał o ewakuacji z ZSRR, która wkrótce miała nastąpić; miał nadzieję, że rodzinie uda się dołączyć do grupy ponad 40 tys. polskich cywilów, która opuszczała Związek Radziecki. Tak się jednak nie stało – Stalin po wydaniu zgody na wyprowadzenie Armii Polskiej z ZSRR nie brał już pod uwagę jakiegokolwiek dalszej współpracy.

W czasie służby w armii gen. Andersa Telesfor Kaczmarek kilka razy był przenoszony z jednostki do jednostki: w 1943 r. służył w Ośrodku Wyszkozenia Piechoty, a od wiosny 1944 r. – w służbie zaopatrywania i transportu. Odbił kilka kursów (w tym kurs prawa jazdy) i uzyskał awanse: na plutonowego (1.11.1942) i sierżanta (1.06.1945). Przebył cały szlak armii gen. Andersa: »»»



List do żony, napisany krótko przed wyjściem armii gen. Andersa z ZSRR, 8.08.1942 r.

Informacja z przedstawicielstwa polskiej ambasady o miejscu pobytu żony, maj 1942 r.





»»» od ZSRR, przez Iran, Irak, Palestynę, Egipt, do Włoch i w końcu do Wielkiej Brytanii (XI 1946). Bezpośrednio uczestniczył w walkach od 18 listopada 1944 r. do 2 maja 1945 r. – w Apeninach Północnych, nad rzeką Senio i w czasie bitwy o Bolonię. Otrzymał odznaczenia: Gwiazdę za Wojnę 1939-45, Gwiazdę Italii, Medal Wojska, Odznakę Pamiątkową 2 Korpusu i The War Medal 1939/1945. Telesfor Kaczmarek miał przydział do Oddziału VI (Specjalnego) Sztabu Naczelnego Wodza, w ramach którego odbył przeszkolenie spadochronowe we Włoszech, gdzie otrzymał Znak Spadochronowy numer 4407, co oznacza, że jako tzw. cichociemny miał zostać zrzucony do okupowanej Polski. Z relacji córki Małgorzaty wynika, że po przyjeździe do Wielkiej Brytanii uległ wypadkowi w czasie ćwiczeń lotniczych. Być może właśnie ta kontuzja uniemożliwiła przerzut do Polski.

Przed komisją repatriacyjną w Wielkiej Brytanii stanął 27 kwietnia 1947 r. i 1 czerwca był już w Polsce. Z żoną i synem spotkał się ponad 7 lat po rozstaniu w Żelechowie (pow. garwoliński) – rodzinnej miejscowości Domańskich. Powrót z Kazachstanu Zuzanny, Karola (zm. w 1972 r.) i Jadwigi

(później po mężu Kozłowskiej) odbywał się w strasznym mrozie; kiedy jechali wozem z sianem, furman zamarznął, dalszą podróż odbyli na ciężarówce.

Telesfor Kaczmarek chciał nowe życie rozpocząć w Szamotułach. Do 1951 r. pracował w szamotulskim Urzędzie Skarbowym, potem zatrudniony był Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni, a następnie – jako główny księgowy – w Stacji Hodowli Roślin Ogrodniczych w Mutowie. Zuzanna i Telesfor Kaczmarkowie doczekali się trojga kolejnych dzieci: Małgorzata (po mężu Hołderna) urodziła się w 1948 r., Stanisław – w 1949 r. (zmarł w 2014), Urszula (po mężu Wegner) – w 1952 r.

Zginął tragicznie 12 kwietnia 1960 r.

Relacja Telesfora Kaczmarka z okresu przed wstąpieniem do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR przechowywana jest w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie. Pierwszy opublikował ją Jan Domański (chrześniak Telesfora Kaczmarka) na łamach «Gazety Nidzickiej», spełniając w ten sposób wolę Stanisława Kaczmarka – syna Telesfora (marzec 2016 r., w 76. rocznicę masowych deportacji Polaków).

Zdjęcia i dokumenty udostępnił: Małgorzata Hołderna, Wojciech Kaczmarek i Jan Domański.

OPRACOWANIE AGNIESZKA  
KRYGIER-ŁĄCZKOWSKA



# PRZYRODNICZE REZERWATY POLESIA

## Bagno «Dzikie»

Początki rz. Narew w bagnie «Dzikie»

**Położone w północnej części rejonu prużańskiego oraz częściowo w południowej – swisłockiego, bagno «Dzikie» (przez miejscowych mieszkańców nazywane «Dziki»), stanowi najbardziej wysunięty na północ zabagniony obszar Polesia. Zalicza się do jednego z największych bagien tego typu w Europie, a jego wiek naukowcy szacują na ponad 6 tys. lat!**

Zajmuje powierzchnię 21,7 tys. ha, od zachodu granicząc z Puszcą Białowieską, a od wschodu – z Puszcą Rużańską. Grubość warstwy zalegającego w nim torfu wynosi od 1,5 do 3 metrów. Bagno «Dzikie» stanowi naturalny dział wodny pomiędzy zlewiskami bałtyckim i czarnomorskim: na zachód, i dalej przez Wisłę do Bałtyku, wypływa z niego Narew; natomiast na południowy wschód – już typowo poleska Jasiołda, która poniżej Pińska zasila wody Prypeci i dalej przez Dniepr niesie swe wody do morza Czarnego.

Z północy na południe przecina to błoto jedna z najstarszych dróg w dawnym

Wielkim Księstwie Litewskim, która łączyła dwie ówczesne stolicy – Wilno i Kraków. Odcinek tej drogi przez bagno Dzikie jeszcze w okresie dwudziestolecia międzywojennego był zwykłą groblą, bardzo trafnie nazywany przez miejscowych mieszkańców «Żołobate Mosty», w czasach radzieckich była to już droga żwirowa, a obecnie – droga asfaltowa P-47.

W 1968 roku na części jego obszaru (ok. 8 tys. ha) decyzją Rady Ministrów BSRR utworzono rezerwat hydrologiczny o znaczeniu republikańskim, natomiast w 2001 roku włączono go do parku narodowego «Puszcza Białowieska». Obecnie bagno Dzikie (jako część obszaru Puszczy Białowieskiej) jest wpisane do Listy Światowego Dziedzictwa UNESCO oraz chronione także Konwencją Ramsarską – więc można go zaliczyć do jednego z najbardziej «utytułowanych» błót nie tylko na terenie Polesia czy Białorusi.

I faktycznie, jest to unikatowy obszar przyrodniczy z punktu widzenia zachowania bioróżnorodności. Tylko do Czerwonej Księgi Białorusi z tego terenu wpisano 14 gatunków ptaków, 2 gatunki ssaków, 13 gatunków



Bagno «Dzikie» po zimie

owadów i 14 gatunków roślin. Nie jest rzadkością zobaczyć tu łosia, pasących się na obrzeżach błota żubrów lub napotkać trop wilków, a o świcie, od wiosny i do jesieni, budzą bagno swoim donośnym głosem żurawie, które po tym hejnale dziesiątkami, a nawet setkami wylatują z niedostępnych uroczysk w «Czarnych Łóżach» na dzienny

żer. Największe zainteresowanie bagno Dzikie budzi w środowisku ornitologów, gdyż odgrywa ono duże znaczenie dla zachowania takich reliktowych gatunków ptaków jak wodniczka (występuje tutaj ok. 8% europejskiej populacji) i orlik grubodzioby, a także kilka gatunków sów, w tym wielkiej szarej sowy.

Północno-wschodnia część bagna «Dzikie» na fragmencie mapy WIG z 1926 r.



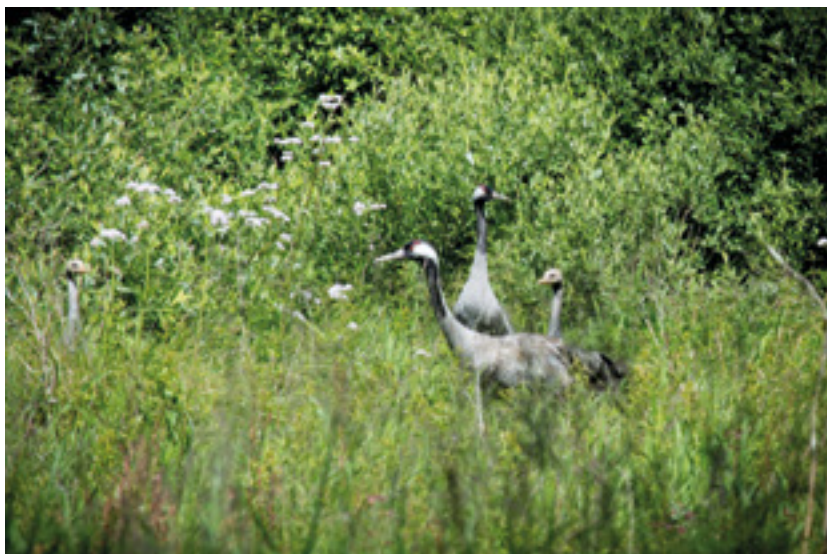
Obecnie utwierdziła się powszechna opinia, że w stanie zbliżonym do naturalnego bagno «Dzikie» zachowało się do naszych dni. Jednak choć objęty ochroną obszar bagna i oszczędzono przed zagładą podczas totalnej melioracji na Polesiu w drugiej połowie ubiegłego wieku, jego obrzeża zostały także gęsto poprzecinane kanałami melioracyjnymi, wypływającą z niego Jasiołdę w jej górnym biegu skanalizowano aż do Berezki Kartuskiej, a w miejscu nie do przebycia niegdyś bagien Chorewskich w dolinie tej że Jasiołdy są poprzecinane siecią kanałów osuszone torfowiska. Niewątpliwie, taka choć i «pośrednia», ale jednak bardzo poważna ingerencja człowieka, wywarła wpływ ujemny na «stan naturalny», właściwie – na reżim hydrologiczny nie tylko bagna Dzikiego.

Analizując dawniejsze mapy tego terenu,

łatwo zauważyć na nich rozległe przestrzenie otwartego błota i tylko nieliczne małe ostrowy leśne (takie suche wzniesienia terenu na błotach Poleszucy potocznie nazywali «hrud»). Natomiast obecnie tych otwartych przestrzeni jest co raz mniej, za to co raz więcej gęsto rośnie krzaków i drzew, a podczas suchej jesieni w sam środek błota, udając się na żurawiny, można dotrzeć nawet w krótkich gumowcach, prawie suchą stopą. Błoto Dzikie więc staje się co raz mniej «dzikie» – stopniowo wysycha i zarasta! Naukowcy tłumaczą to zjawisko obniżeniem poziomu wód wskutek niewłaściwej eksploatacji systemów melioracyjnych oraz niesprzyjającymi warunkami pogodowo-klimatycznymi w ciągu ostatnich dziesięcioleci, a jako jeszcze na jedną przyczynę zarastania błota wskazują na zaprzestanie koszenia trawy (jeszcze stosunkowo niedawno, bo w lata osiemdziesiąte XX w. jadąc drogą przez bagno Dzikie zwykły był widok ogromnej ilości stojących na nim stogów siana, które było wywożone już w porę zimową po zamrożonym błocie. Obecnie już mało kto z mieszkańców okolicznych wsi trzyma bydło).

By zapobiec dalszej degradacji bagna «Dzikie» i w celu przywrócenia właściwego dla niego reżimu hydrologicznego, w ciągu ostatnich lat przez naukowców Białoruskiej Akademii Nauk oraz parku narodowego «Puszcza Białowieska» opracowano stosowne projekty i zaczęto wdrażać ich w życie: zorganizowano monitoring stanu wód; wznoszone są tamy, zamykające odpływ wód przez kanały melioracyjne; na wyznaczonym (ograniczonym jednak) terenie w dawnych miejscach największych skupisk wodniczki w ramach przeprowadzenia eksperymentu naukowego oczyszczono teren od drzew i krzaków oraz wznowiono wykoszenie traw i tp. Natomiast czy te inicjatywy i podjęte wysiłki na rzecz ratowania bagna «Dzikie» okażą się wystarczające i przyniosą rezultat porządany? – Przynajmniej miejmy taką nadzieję!

**SZARY POLESZUK**  
**FOTO AUTORA**



Rodzinka żurawi w swoim żywiole



Długa ścieżka po żurawiny w «Dzikach»



Wrześniowy poranek. Młode brzozy w środku bagna «Dzikie»



## KOCIOŁKOWSKIE BŁOTO

Proponujemy Państwu opowiadanie myśliwskie naszego stałego autora i Przyjaciela Pana inż. Eugeniusza Lickiewicza z Prużan. Dzieciństwo spędził w Puszczy Różańskiej, w malowniczej wiosce Starowola, młodość zaś w Prużanie. Zawzięty grzybiarz, wędkarz, myśliwy, choć ostatnie lata coraz częściej «poluje» z aparatem fotograficznym. Jest zżyty ze światem natury, kocha ziemię prużańską, zna tam każdy zakątek, każde błoto, zagajnik. Nigdy nie uczył się języka polskiego, poznawał go w kościele, a także dzięki książkom Kraszewskiego, które zachowały się sprzed wojny w domu rodzinnym. Obecnie Pan Eugeniusz pracuje m.in. nad przygotowaniem materiałów do «Ech Polesia» o Prużanie, do rubryki «Historia naszych małych Ojczyzn». Dziś publikujemy jego pierwsze opowiadanie myśliwskie, a inspiracją do napisania stały się piękne opowiadania myśliwskie Franciszka Wystoucha.

Teraz po nim pozostała tylko porośnięta krzakami nizina. Ale pamiętam to błoto bardzo dobrze, z czasów jeżeli tak można powiedzieć jego świetności, wrzące życiem, nie-  
tknięte jeszcze przez sowieckich meliorantów. Ponieważ nie było zbyt duże, padło ich łupem na samym końcu, kiedy w rejonie prużańskim nieosuszonym z większych bagiennych obszarów pozostawało tylko błoto Dzikie w jego północnej części, przylegające do Puszczy Białowieskiej oraz stanowiące rezerwat przyrody. Pozbawione w wyniku osuszania błot swoich naturalnych siedlisk, z większości przepięknego kiedyś krajobrazu północnego Polesia, pozniakało też ptactwo błotne. Dlatego w lata osiemdziesiąte minionego stulecia kociołkowskie

błoto w bliższej okolicy stało się swoistą «kazcą stolicą», dostarczając mojej namiętnej duszy młodego kresowego myśliwego obfitości przeżyć i wrażeń.

Polowanie na kaczki nie należy do jakichś nadzwyczajnych myśliwskich wyczynów, jest dość łatwe i proste, a większego wysiłku fizycznego wymaga jedynie jego forma «z podchodu», kiedy myśliwy w poszukiwaniu zapadłych na dzienną drzemkę kaczek przemierza, zalany potem w sierpniowym skwarze, wśród roi dokuczliwych owadów, nieraz znaczne obszary wodno-błotnej powierzchni. Ale chyba właśnie z powodu tej dostępności i łatwości, letnio-jesienne polowanie na kaczki jest powszechnie lubiane przez poleskich myśliwych, a otwarcia sezonu w sierpniu nie zaniecha raczej żaden z nich. Ponadto jest ono jakby przedsmakiem i zapowiedzią już poważniejszych o wiele jesienno-zimowych polowań na szaraki, lisy, grubego zwierzka lub obław na wilki. A więc w porę, kiedy jesień zaczyna przypominać o sobie coraz częstszymi porannymi mgłami, kiedy ogrody wypełnione są dojrzałymi warzywami i owocami, a na polach rozpoczęto już żniwa, myśliwi stają się coraz bardziej pobudzeni i niespokojni. To wyciąga się z szaf dubeltówki, to sprawdza się stan garderoby myśliwskiej, to nabija się amunicję. Pozostałe sprawy, zmartwienia, a nawet obowiązki schodzą gdzieś na margines. Nic w tym dziwnego, przecież otwarcie sezonu polowania na ptactwo wodne i błotne już jest bardzo blisko. Wiezorami po pracy, przy ul. Szewczenki w Prużanie, w cieniu starych rozłożystych jabłoni na gościnnym podwórku prezesa Miejskiego Kółka Łowieckiego Nikołaja Dmitrijewicza Ładyczuka ludno i

gwarno – przychodzą tu prużaniacy-myśliwi wykupić zezwolenia na odstrzał ptactwa łownego, spotyka się starych znajomych-kolegów myśliwych, wymienia się informacją gdzie i jaki jest stan kaczek populacji w łowiskach itp. Lubiłem też tam przebywać, i choć z uwagi na młody wiek więcej wypadało mnie słuchać, wśród tych ludzi byłem na równi z innymi, bo więcej łączyła ich wspólna pasja, niż dzieliła hierarchia służbowa lub majątkowa.

Nareszcie jutro, w sierpniową sobotę, otwiera się sezon polowania na kaczki. To swoje święto myśliwi zwykli obchodzić poczynając już od piątkowego wieczoru – zbiera się kilka zaprzyjaźnionych kolegów, i wyjeżdża się czym kto ma do ustalonego zawczasu miejsca jutrzejszego polowania. Zwyczajnie taka myśliwska gromadka po dotarciu do celu lokuje się na nocleg na brzegu błota, jeziora lub rozlewisk rzecznych na jakimś przewiewnym, suchym wzniesieniu, by mniej dokuczały komary. Zbiera się opał na całą noc, bez pośpiechu rozkłada się ognisko, a bliżej wieczoru rozpoczyna się myśliwska uczta. Dubeltówki pokojowo jeszcze leżą pochowane do futerałów, wyciąga się zapasy prowizji i nieco mocniejszych, często z własnych (nielegalnych względem prawa) wytwórni trunków. Myśliwi, siedząc dookoła ogniska wznoszą toasty za jutrzejsze polowanie. Doskonała, jak to najczęściej bywa u nas w sierpniu pogoda, dobrane towarzystwo, wyborna starka sąsiada, gwiazdziste, prawie już jesienne niebo, zapach chleba z położonego tuż obok ścierniska – wszystko to wprawia rozmówców w przedni humor. Bardzo często biesiady te, przerywane śmiechem z myśliwskich opowiadań i kawałów, przeciągają się do późnych godzin

nocnych. Wystarczy tylko kilkugodzinna drzemka, by jutro jeszcze przed świtem zerwać się na równe nogi i wyruszyć w łowisko. Poczucie szczęścia... Przecież ci ludzie, zwykle ściśle związani z naturą, doskonale ją rozumiejącą i miłującą, dla siebie potrzebują bardzo niewiele.

Niestety, ale tym razem moi starsi koledzy jakoś nie pogodzili się pomiędzy sobą co do miejsca polowania, i ktoś wyruszył na Czane Łozy, ktoś na rozlewiska Jasiołdy, a ktoś nawet zdecydował się na wyprawę na dość odległe od nas jezioro Sporowskie. Pozostałem tylko ze szwagrem. Dlatego wyjeżdżamy już w sobotę. Budzę się w środku nocy. Błyskawiczne zbieranie się, i już lecę po drodze do szwagra. Zdecydowaliśmy otwarcie sezonu spotkać na kociołkowskim błocie, ponieważ choć byliśmy świadomi, że niezbyt odległe od Prażan (nieco ponad 10 km jadąc szosą w kierunku Widomli), będzie tam pełno myśliwych, wiedzieliśmy też, że w pierwszym dniu stamtąd tylko rzadki pechowiec mógł powrócić pusty. Bo mimo że nie zajmowało ono znacznego obszaru – wyciągnięte z północy na południe jedynie na mniej więcej kilometr-półtora oraz szerokie na 0,5 km, miało charakter dna, przez co i pokrywającą jego roślinność zróżnicowane. Grubsza warstwa torfu, pokryta mchami i rzadkim wiszarem, zalegała od strony lasu, od drogi zaś na północy oraz z zachodu od wioski Kociołki warstwa torfu była zupełnie szczupła, przez co dno w tej części błota było w miarę nie grząskie, zalane wodą średnio do kolan z wystającą nad nią roślinnością; w środku błota, jakby dzieląc jego na dwie części, ciągnął się szeroki na kilkadziesiąt metrów pas oczeretów z plesem czystej wody z jednej »»»

»»» ze stron. A wszystko to razem sprawiało, że Kociołkowskie Błoto było ulubionym miejscem przebywania nie tylko rozmaitych gatunków ptactwa wodnego i błotnego, lecz także polujących, głównie na kaczki myśliwych. Bo jakby i zabrakło kiedy trofeów myśliwskich, sąsiadujące obok lasy obfitowały w grzyby, a na stawie od strony drogi żwirowej na Kociółki zawsze można było posiedzieć z wędką.

Jedziemy dwoma motorówkami. Światło ma tylko Michał, dlatego jedzie na przedzie, ja jadąc z tyłu krajem oka cały czas pilnuję prawej krawędzi drogi, by nie zjechać na jej pobocze. Wreszcie dojeżdżamy do potrzebnego skrzyżowania – po lewej stronie od szosy położona jest wioska Szakuny, ojcowizna znanego białoruskiego kompozytora i dyrygenta Rygora Szyrmy; po prawej, w dwóch kilometrach od skrzyżowania – wioska Kociółki. Moje ulubione kaczki błoto jest akurat w połowie drogi od szosy do wioski.

Po zakręcie za skrzyżowaniem światło z motorówki Michała nagle wrywa policyjny «lizak». Szwagier ostro hamuje, muszę robić to samo, by uniknąć zderzenia. «Legitymacja myśliwska, dokumenty na broń, zezwolenie na polowanie!» – słyszę po wojskowemu krótkie, szczekającym głosem rozkazy kapitana miejscowej milicji, kuratora myśliwych Wołkowa. Sprawdza dokumenty Michała, później moje, następnie rozkazuje pokazać broń, sprawdzając numery na wszystkich jej częściach. Na żal dla Wołkowa (z j. rosyjskiego «wołk» oznacza wilk) – mamy wszystko w porządku. «Możecie jechać» – z wyczuwalną nutką niechęci stwierdza tamten. Zastanawiam się w duchu, czy taka nadgorliwość w pełnieniu obowiązków służbowych wynika z odpowiedniego wychowania, czy

też z zamiłowania do władzy i chęci wywyższenia się nad przeciętnymi obywatelami? Wygląda raczej na to drugie, ale w sumie nie jest to aż tak ważne, bo już za kilka minut skręcamy ze żwirówki w lewo, na ledwo zauważalną drogę polną, wijącą się wzdłuż zachodniego brzegu kociołkowskiego błota, i dojeżdżając mniej więcej do jego połowy, gasimy silniki motorówek. Zsiadamy nie spiesząc się z nich, opierając następnie jedną o drugą, zapalamy papierosy, i milcząc wsłuchujemy się i wpatrujemy w błoto. Noc jeszcze. Po kilku chwilach, kiedy w uszach ustaje szum silników, a oczy przyzwyczajają się do ciemności, zaczynamy powoli dostrzegać kontury aut i motocykli, pozostawionych po brzegach błota, a w samym błocie, oprócz jego nocnych przeróżnych odgłosów i szmerów słyszymy z rzadka powolne i ostrożne, chlupające kroki poruszających się do wytyczonych z wieczora stanowisk myśliwych. Święta noc jeszcze prawie, ale nagle słyszymy łopot kaczycy skrzydeł, a tuż po nim nocną ciszę przerywa strzał z 12 kalibru. Niestety, ale komuś z myśliwych puściły nerwy. «Tak twaju..!, szcoby ty prowaliwsa!» – przeklina któryś z sąsiadów niefortunnego kolegę starym poleskim przekleństwem. Ale wkrótce znowu zapada prawie że całkowita cisza. Jak widać, większość z kolegów myśliwych są tu od wczoraj oraz mają w lepszych miejscach stanowiska już pozajmowa – ne, wobec czego postanawiamy czekać świtu, by nieco lepiej zorientować się w sytuacji. Poranek ze światłem dziennym przychodzi jakoś niepostrzeżenie. Powoli z jego szarości i porannej mgielki nad błotem zaczynają coraz wyraźniej wyłaniać się oczerety

pośrodku błota oraz figurki dalsze i bliższe zaczajonych myśliwych. Na oko jest ich ponad dwadzieścia – nieco za dużo jak na takie błotko. Słyszymy oddalony nieco poświst kaczycy skrzydeł nad błotem, a wkrótce – «babach, bach, bach, bach!!!» – odezwały się dubeltówki mniejszych i większych kalibrów. Rozpoczęło się! Wciąż stoimy ze szwagrem na brzegu błota – naprzeciw większego wodnego oczka, gdzie kociołkowskie chłopaczki przychodzą łapać czerwone karasie i wjuny. Szwagier nie wytrzymuje i na przełaj wkracza w błoto. Ja zaś, zapalając kolejnego papierosa, zbliżam się do sadzawki. Mam już pół godziny od świtu, a wciąż jestem w miejscu, dalekim od tras kaczycy przelotów. Nad błotem już grzmi prawdziwa kanonada wystrzałów. Kaczki, kaczusie, nic nie rozumiejąc, dlaczego ich jeszcze wczoraj spokojna ostoja zamieniła się w najeżone śmiertcionośnymi lufami błoto, zataczając półkregi i wznosząc się coraz wyżej, gonione hukiem wystrzałów i świstem śrutu, w pośpiechu zostawiają to miejsce. No cóż, trudno, nie koniecznie dzisiaj ma sprzyjać mnie fart myśliwski.

Nie mając innego zajęcia rozglądam się dookoła, szczególnie w kierunku najczęstszych wystrzałów. Przyjrząwszy się w lornetkę 6-krotnego «Ceisa» z czasów drugiej wojny, widzę opartego tyłkiem, by nie stracić równowagę, o rosnącą pojedynczo na wshodnim brzegu błota starą garbatą sosnę, faceta w mundurze wojskowym bez żadnych odznaczeń. „3ach!, ba-bach!», – dubeltówka jego salutuje bodajże każdej poruszającej się na niebie kropce. «A niech to – z trudem tamując śmiech wywołany tym widowiskiem myślę – dobrze że taki nie strzela sobie poniżej linii horyzontu». Ale to jeszcze nie koniec atrakcji. Po kilku chwilach spod nóg

od zbliżającego się w moim kierunku, brnącego po kolana w wodzie młodego oficera z lotniska w Zasiłowiczach, zaczyna umykać po wodzie w kierunku oczeretów postrzałek kackikrzyżówki. «Strzelaj!» – wołam do niego, bo widzę, że za kilka sekund postrzałek zginie w szuwarach, stając się następnie obiadem lisa lub błotniaka. «Ee, już naboimnie brak» – zobojętniale macha ręką tamten. «Ależ kowboje!», myślę sobie, mierząc do umykającego postrzałka. Oficer honorowo jednak nie chce zabrać dostrzelonego ptaka, ale i dla mnie to żadna satysfakcja, lecz wykonany obowiązek myśliwski. Dokładnie rozejrzawszy się, wyznaczam najbardziej oddalony obszar błota w jego południowo-wschodniej części. Wydaje się, że jest bardziej luźny od strzelców. Jest też bardziej niedostępny, bo kozuch roślinności na nim przykrywający bagno jest już dość cienki, także warstwa korzeni roślin zdradliwie ugina się, falując pod nogami, ponadto ta część błota obfituje w zarastające już małe oczka wodne, z tatarakiem po brzegach. Oczka te powstały po wydobywaniu kiedyś przez chłopów z okolicznych wiosek torfu z błota, stanowiąc poważne, a nawet śmiertelne zagrożenie dla nieuważnych przygodnych ludzi, a szczególnie dla niepilnowanego wiejskiego bydła. Powoli, najpierw po kolana w wodzie, później coraz wyżej, ale uparcie zbliżam się do celu, już nie zwracając uwagi na niebo oraz na bliżej położonych myśliwych, patrząc tylko uważnie sobie pod nogi. Sprawdzam po kolei oczko po oczku, i w miarę jak jestem bliżej południowego brzegu opierającego się w las błota, moje nadzieje coraz nikną. Aż nagle, a jak wiadomo na polowaniu zwyczajnie wszystko

zdarza się «nagle», kilka kaczek z ogłuszającym łopotem skrzydeł jedna po drugiej zrywają się z przedostatniego do lasu oczka wodnego. Całkiem instynktownie mierzę do ostatniej, najbliższej, notując po strzale spadającego na wodę kaczora. Po drugim strzale kaczka też spada, ale jej poszukiwania w wiszarze zajęło już kilkanaście minut, bo została jedynie postrzelona. Tym nie mniejsza satysfakcja jednak. «Z polem, Gieniu!» – woła do mnie niewiadomo skąd zjawiwszy się szwagier. «Z polem!» – również gratuluje Michałowi, widząc przy jego pasie kilka kaczyczych dziobów. Jest godzina dziewiąta. W błocie pozostają już tylko nieliczni myśliwi, reszta albo rozjechała się po domach, albo kto ma czas powraca do miejsc noclegu, na nowo rozpalając przygaszone ogniska, widocznie mając zamiar pozostawiania aż do wieczora. A więc jednak to otwarcie sezonu nie pójdzie całkiem w niepamięć, bo oprócz skutecznego dubletu, zapamiętam i kapitanawilka w zasadzce na myśliwych, i wiwatującego z obu łuf na część myśliwskiego święta podpitego kowboja-lotnika przy garbatej sośnie.

Przed odjazdem do domu, jak na fotelach siedzimy na wysokich kępach trawy przy motorówkach na brzegu błota. Suszymy mokre od rosy ubrania. Popijamy śniadanie z kanapek herbatą z termosu i wymieniając się wrażeniami, rozważamy kolejne wyjazdy w inne już miejsca. Ale dobrze też wiem że tutaj, na Kosciózkowskie Błoto, będę ciągle powracać. I kiedy na jesieni większość z moich starszych kolegów będzie starała się dołączyć do jakiejś grupy posiadającej licencję na grubego zwierzka, a «kowboje» z Zasiłowicz już nie będą mieli co

tutaj robić, będę wracać tu aż do pierwszych przymrozków, podchodząc po srebrnym od szronu wiszarze dorodne już, wypasione przed odlotem krzyżówki oraz rozmaite gatunki kaczek, ciągnących z Północy. I tak będzie co roku.

A nawet kiedy Błota już nie ma – wracam tu pamięcią, z dalszych lub bliższych krajów, uciekając z bezdroży ludzkiego zgiełku myślami nad Jasiołdę i nad Leśną, na niedostępne błota chorewskie i na dzikie łąki Turosy, do obfitych w różnorodną zwierzynę rozległe lasy Puszczy Różańskiej i do majestatycznych borów szereszewskich. Bo choć Natura owszem, wszędzie jest piękna, ale tu jest swoja – poleska, ojczystai najpiękniejsza! A każda otwarta i wrażliwa na jej piękno dusza – nie tylko myśliwska, bez różnicy też, czy «tutejszego», czy Białorusina, czy kresowego Polaka – jest z nią zrośnięta na zawsze.

I tak też myślę, że kiedy przyjdzie kres wędrówki ziemskiej, dusza taka, zostawiając zestarzałe i nieposłuszne ciało, hej! – nie od razu odleci do Pana Boga, a będzie jeszcze przez jakiś czas krążyć nad umiłowanym krajem – podobnie jak krążą na jesieni te żurawie nad doliną Leśnej w Puszczy Białowieńskiej, trąbiąc nad nią, żegnając je przed odlotem do ciepłych krajów, aż nasyci się bez ostatku przepięknymi krajobrazami, zapachem żywicy w borach, roślin leśnych i polnych kwiatów, ptaków śpiewem, jeleni i łosi rykiem, a brzemienna w te wrażenia, złoży je w głębokiej wdzięczności i pokorze do stóp Stwórcy Najwyższego, błagając o litość, że tak długo błąkała się po bezdrożach poleskich, opóźniając się na Sąd Boży.

## Józef Ignacy Kraszewski, Lasy poleskie



**Stosunek ziemi zarosłej jeszcze lasami, chróstem, łozami, do ornej, jest w Polesiu taki że ledwie część jej trzecia dopiero wyrobioną została.**

Wprawdzie dla małej ilości rąk trudno by pola rozprzestrzeniać, gdy dotąd powolnie bardzo wchodzą maszyny gospodarskie przeznaczone do zastąpienia ludzi i jedna tylko młocarnia powszechniej zaprowadzoną została. Przytem rodzaj ziemi piaskowatej i samej przez się nierodzajnej a silnych nawozów potrzebującej, niebardzo zachęca.

Większą część lasów poleskich składają sosny pięknego wzrostu i bajrakowata choina; pierwsze proste, wysmukłe, zdadne do wyrobu i handlu; drugie pochyłe, skrzywione, sękowate, pokurczone i na nic, prócz opału, niepożyteczne. Puszcze poleskie, w których niedostępniejszych głębinach kryje się jeszcze wiele zwierza, są jednak dziś z lepszego drzewa zupełnie prawie wyniszczone, przez ciągle wyrabianie belek i

potaszów. Oprócz sosen, rośnie tu rzadko i ku północy tylko w niższych położeniach świrk i jodła, brzoza w wielkiej ilości, dęb po lepszych gruntach, grabina, osina i wiele innych rodzajów drzewa. Ku południowi, tarnina i szypszyna razem z leszczynę lasy podszywa; gdzieniegdzie okazują się głogi białe.

Po nad drogami smutny jest pozór lasów, gdyż bliżej ludzi są wyniszczone i niegodziwie popsute; większa część sosen żywcem poobcinana, inne powalone przez podpalenie, pokaleczone niemilosierdzie. Smutno patrzeć na mnogość niezliczoną leżących i gnijących kłód ogromnych, których nikt nawet na opał nie bierze, bo wieśniacy zawsze z pnia rębnię, wstręt mając od leży jak od padła; uważają wszelki pował jakby zdechłe zwierze. Często napotkasz wielkie lasu przestrzenie przez niedozór i niedbalstwo wygorzałe i pożółkłe; podłożony w suchej porze przez pastuchów ogień, straszliwie się rozchodzi i niczem potem ugasić nie daje. Ta jedna klęska wiele lasów poniszczyła. Na wiosnę, dla żywszego wzrostu trawy, umyślnie puszczają pożary, a niedopilnowane, zrządzają szkody ogromne i wszystka młodzież po nich usycha.

W głębi gdzie lasy lepiej się podszyte, fizjognomja ich też piękniejsza: wznoszące się po nad gęstymi zaroślami drzewa stare jak z kosza kwiatów wystrzelają zewszęd otoczone bujnemi latoroślami u których stóp rozkwita wonna leśna flora. Czasem zielonej łąki kawałek przecięty rzeczulką, przypomina park angielski. Smutne za to, wśród sosnowych i brzozowych karłowatych zarośli, błoto kępiaste gdy się na wielką przestrzeń rozciągnie.

Pomyślawszy nad tem jak dawno u nas poczęto lasy wyniszczać, gdy się już na to



Jan Kochanowski w Satyrze uskarżał, dziwna że ich jeszcze i tyle pozostało. Zgubne starodawne przysłowie: nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las, — zdaje się być dotąd jedyne skazowkę w postępowaniu. Rzeczywiście wspomina o wyrobie klepki (segmenta querculum), wańczosów (assamenta eichene boleń, planken), i potaszu (cineris clavellati), nic jednak o sosnowych balach, najwięcej dziś tu wyrabianych, nie pisząc.

Zwierz jeszcze nie wypłoszony znajduje się tu w znacznej ilości: niedźwiedzie (rzadkie), dziki, łosie, bobry, rysie spotkać można, choć coraz się mniej pospolite, bo liczba myśliwych się powiększa, środki niszczenia udoskonalają, a lasy przetrzebiamy codziennie.

Z chartami trudno, niepodobno prawie w kraju tak błotami i lasami poprzecinanym polować. Za to gończe i obławy czyli huczki dopomagają strzelcom. Na zwierz grubego jest to jedyny sposób polowania. W zimie, na sarny polują objeżdżając je wprzód sankami; z wyżłem polowanie na ptastwo po błotach i polach mniej tu znajome i używane.

Polowanie z obławy czyli huczkami jak tu najpospolitsze, dość jest nudne dla tych, którzy albo myśleć nie umieją, albo nie dość są myśliwi, żeby dzień cały trudu i



oczekiwania, jednej przyjemności wystrzeżenia poświęcić. Od rana zaraz budzi śpiącego gwar schodzących się ludzi, strzelców, budników, mazurów i psów które się gryzą włączając się posforowane w dziedzińcu. Zbierają się myśliwi w borsucznych torbach, w nowych łapciach, z fuzjami osobliwszych kalibrów, których panewki tymczasowie wedle formy zajęczemi ogonami pozatykane. O czymże rozmowa między myśliwymi jeżeli nie o myślistwie? — Posłuchajmy, tu pole dla zręcznych łgarzy.

— Mosanie (anegdota historyczna), jakem to ja roku przeszłego polowałem na sarny, w lasku nad rzeczką stałem na przesmyku sam jeden, doskonale miejsce nigdy nie chybi. — Stoję, stoję, aż nareszcie słyszę psy ku mnie gonią, zaszeleściały liście i gałęzie: idzie rogacz. Ja do fuzyi; mierzę się, przypuszczam, przypuszczam, mierzę jeszcze, nareszcie — paf! strzelam, i buch — kozioł mój upada. Ja do niego, i z radości moją czapkę kładę mu na rogi. Schodzą się myśliwi pogrzebowego zapić, aż tu ni z tego ni z owego mój kozioł, djabli nadali, niewiedzieć z kąd mu przyszła fantazja, zrywa się na nogi, prostuje i dalejże w las z moją czapką. Wszak prawda, panie Janie?

— A prawda, panie, odparł z zimną krwią zapytany. Jeszcze tak odbiegłszy na staję, zdjął czapkę, ukłonił się i rzekł; Adieu, do miłego widzenia się.

Kto inny opowiada jak strzelając do łosia, zabił razem zająca, sarnę i dwie kaczki; trzeci długą rozpoczyna historią o lisie którego dobić nie mógł, i rozmowa ożywiona poprzedza zwykle polowanie. »»»»





»»» Tymczasem strzelcy piją wódkę, panowie jedzą obfite śniadanie, psy szczekają chodząc, zaprzęgają wozy, huczki w cichoci wyprawieni obejmują knieję; dzieli się uboga część myśliwych w łapciach szrotem, lóftkami, kulami, pieńkami i prochem. Nadzieja ożywia wszystkich twarze, konie rżą: jedziemy.

Drugi raz jeszcze zbierają się wszyscy w lesie na stanowisku, ale tu już ciszej; konie zostają opodal, w obozie rozkładają ogniska i radzą długo, radzą poważnie, gdzie waga lasu, z kąd się psy zapuszczą, jak huczki rozstawia. Nie obejdzie się tu bez żwawych sprzeczek między promotorami i znawcami; ten ztąd, inny z drugiej stiony chce zachodzić, ten od wiatru, ów za wagą kniei, ten widział zwierza wczoraj, tamten przeczy, aż nareszcie zwycięża wygadańszy, zwyciężony umilkł, w milczeniu uroczystem psy i ludzie się rozchodzą; stary strzelec rozstawia na linii myśliwych.

Choć po cichu znów spory o miejsca; chciałoby się zająć każdemu najlepsze, straszno stać obok takiego co z ślepoty lub w gorączce gotów myśliwca w miejscu – zwierza postrzelić. Cicho! zgoda nakoniec i wszyscy stają. — Jeden na kłodzie opiera fuzję, czyści i nabija; ów przygotowuje

miejsce ukryte między gałęzmi żeby go nie było widać; inny tymczasem do spoczynku się zabiera, inny jeszcze korzystając z chwili brusznice, czernice i jagódki różne zrywa nim psów gon postłysz; jeśli nie na ostrowęchego zwierza polują, a wiatr od kniei do strzelców, zapalają się nawet fajki.

Wszyscy stoją w oczekiwaniu i milczeniu. Ta chwila oczekiwania, często bardzo długa, jeśli daleko psami zakładać potrzeba, najnudniejszą jest z całego polowania. Nie jeden, w braku sąsiadów do gawędy, usypia na pieńku nie troszcząc się o zwierza, wypiwszy zawczasu pogrzebowe przed pogrzebem. Nareszcie zdaleka odezwali się, huczki, każdy bieży na miejsce, opatruje strzelbę, staje. Cicho! cicho, tylko się pies zławiać pocznie, ptak szeleśnie lecąc nad głową, lub dzięcioł pukaniem do drzewa przerwie głucho milczenie. Kogo los pod barcią lub na mrówisku postawił, ten się opędza pszczołom i mrówkom jak może, nie śmiejąc zejść z miejsca aby go nie postrzelono.

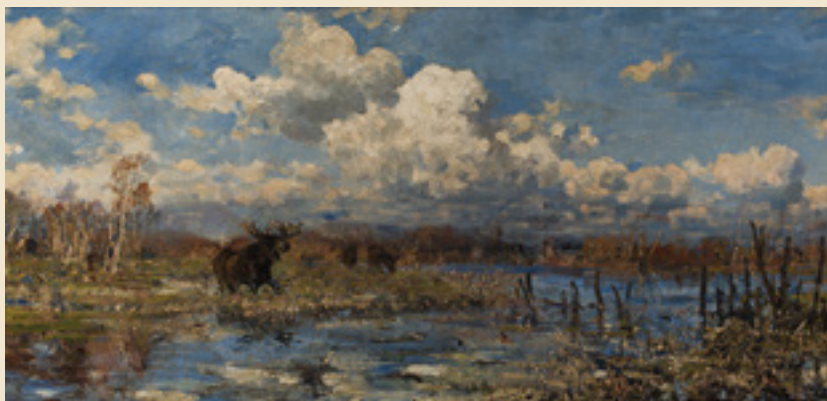
Gorliwsi, zapomniawszy o prawach, o ostrożności, o wszystkim, z okiem wlepionym w dalekie knieje, pędzą przed psy i drą się w głąb kniei.

Otóż gonia! gonia! Jak ten dźwięk

różnogłośny mile brzmi w uchu myśliwych; kilku niepamiętnych przyrzeczeń, znoju, danego słowa, posunęli się naprzód. Oto ! już jeden strzał huknął, już drugi, trzeci, — zwierz idzie, przeszedł, poległ. Rozpytuja się kto chybił, kto zabił, śmieją się i kupkami schodzą.

Tu dopiero posłuchać potrzeba tych co chybili. Oczewiście to nie ich wina, strzelba rzuciła trochę, meta była daleka, oko zapruszyła muszka, zresztą kto wie? postrzelono pewnie, zwierz po strzale upadł, farbował, kulał, przewracał się i trochę sierści na pieńku zostawił. Tryumfujący zbliżają się do pogrzebowego nim do drugiej pójdą kniei, siadają na trawie, dobywają flaszki, i zaczynają zapijać. Rozmowy coraz żywsze, anegdoty coraz śmielsze, nareszcie wyzwania następują strzelania do nieszczęśliwych czapek a czasem i kłótnie.

Nieraz tragiczny jaki wypadek przerywa wesołość. — Temu rozerwała fuzja, ten został lekko postrzelony; gdzieindziej pan lasów wmiesza się niedelikatnie, psy połowi,



fuzje pozabiera, i smutne myślistwo wraca do domu z nosem spuszczone. Ale gdy się polowanie dobrze uda, gdy się dobrze napiją, najedzą, nagadają, jakże na długo zostaje pamiątka wesołej chwili; jak się to smaczno wróciwszy zajada i spoczywa.

Na cietrzewie w jesieni polują z cieniem, to znaczy że na uludzenie biednego zwierzka sadzą mu wypchanego niby-ptaka, lub po prostu kawał sukna, koło którego on siada w dobrej wierze i zabijać się daje. Wiosną wczesną korzystają z tokowania cietrzewi i głuszców; mnóstwo jarząbków i innego ptastwa, łowią na sidła przynętą z kaliny lub jarzębiny.

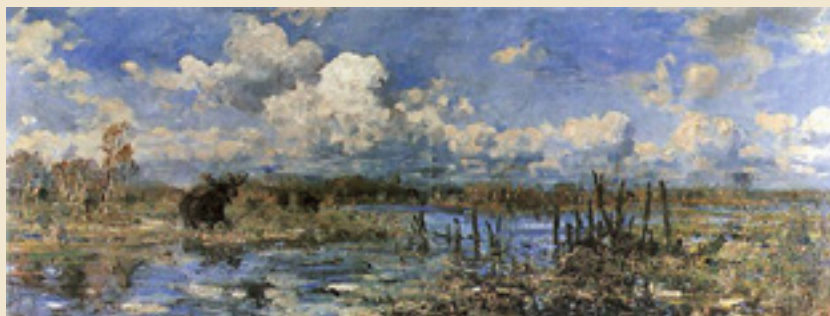
Zakończmy ten ustęp o myślistwie anegdotą, która jest historyczną; zdaje mi się że z wielu miar maluje ona kraj nasz i obyczaje. W jednym miejscu Polesia graniczył pan ze szlachcicem, oba byli zapaleni myśliwi, oba swych lasów zazdrośni; lecz pan nie polował w lasach szlacheckich, a szlachcic, mniej mając swoich, często do pańskich zaglądał kniei. A gdy nie mógł nic spolować, to przynajmniej umyślnie wysfanemi ludźmi ze światłem wypłaszał zwierzynę z pańskiego do swego lasu. Znudziło się to panu, i złapawszy raz parę ogarów sąsiada które się w las jego zagnały, kazał je powiesić na drzewie.

Gniew, odgrózki, łajania szlachcica nie dają się opisać! Wrzała w nim zemsta! Co to, dwa najulubieńsze, najlepsze ogary na sośnie; tak haniebna śmierć tak zasłużonym stworzeniom, obwieszona jak złodzieje! Poprzysiągł szlachcic zemścić się przykładnie i czekał tylko zrzeczności. >>>>



TYP POLESZUKA

Fot. A. Wysocki



»»»» Jedzie raz swoim lasem, spotyka chłopą który drwa rąbie.

— A zkąd to, kochanku?

— Z D., właśnie ze wsi pana hrabiego!

Co za szczęście, szlachcic poskoczył z radości.

— I ty śmiesz w moim lesie drwa rąbać ! A wiesz ty jak pan twój z moimi psami postąpił?

— A Dobrodzieju, darujcie! I chłop, padając na kolona, począł prosić i zaklinać.

Szlachcic pokręcał tylko węża, z zimną krwią zawołał swoich ludzi i kazawszy wyprządz parę wołów z wozu, powieszał je na drzewie.

— Idź, powiedz to panu twemu, a on ci zapłaci.

Tak zemścił się szlachcic; a pan pewnie nigdy więcej psów wieszać nie miał ochoty, bo za woły zapłacił w istocie.

Niebezpieczne polowanie na wilki, kiedy się one stadami włóczą w zimie, mało już dziś używane przez kogo. Do wozu w około ustrojonego kosami, siadają myśliwi dobrze opatrzeni w strzelby, biorąc między siebie — prosię; na sznurze za wozem wlecz się fac simile prosięcia, wiązka grochowin. Gdy wjadą w miejsca gdzie się wilcy zwyczajnie pokazują, zaczynają prosię męczyć żeby krzyczało; głos jego zwabia stada głodnych wilków; zuchwale zbliżają się do wozu, chwytają nawet za wiązki uczeponą z tyłu, a w ówczas pora strzelać! Takie polowanie odbywało się w nocy jasnej, a do wozu zaprzęgano jak najgorsze konie, bo żwawe na widok wilka ponosiłyby niechybnie, mogłyby wóz wywrócić; a na ówczas i od kos kalectwo i wilcze zęby straszne, gdyby kto wypadł. Zdarzało się

najczęściej że wystrzelawszy próżno naboje, uciekać musiano a wilcy rozjuszeni gonili aż do wsi, nieraz aż na podwórzec nawet. Niebezpieczne te wyprawy rzadko się udawały : dziś całkiem zarzucone. Na jednej z ostatnich wystaw' paryżkich, był obrazek przedstawujący taką scenę. Bezpieczniejsza już przynęta i zasadzka ; zwierzę zwabione wonią z daleka, głodny w zimie, przychodzi i zabijać się daje. Tak zając do owsa, wilki do padła ściągają. – Przypominam sobie dziwny wypadek:

Przy ścierwie zdechłego konia zasiadł raz strzelec; było to jakoś pod miasteczkiem. Długo bardzo czekał a nic nie przychodziło, nareszcie znudził się i zdrzemnął. Obudzą się na szelest jakiś, pogląda i widzi że coś się rusza przy padle. Wymierza, strzela i słyszy — krzyk — Jezus, Marya!

Przerażony leci do ścierwa i spostrzega babę stara z nożem w ręku, która w chwili gdy okrawała piękne mięso końskie postrzelił. Dowiedziano się później z następującego wysłedzenia przy sprawie, że utrzymywała garkuchnię w miasteczku stara jejmość i tym sposobem zwykle sobie mięsa dostawała. Przypadek ukarał oszukaństwo. Oprócz wymienionych właściwszych nam sposobów polowania, myśliwi tutejsi wszelkiemu innemu znęcają się nad pozostałym jeszcze zwierzem. Nikt go tyle nie zniszczy co osiedli w lasach budnicy, z niesłychaną cierpliwością, zręcznością i przemyśleniem uganiający się za pastwy. Znają oni niemal osobiście każdego lisa i zająca, sarnę i dziką który się w lesie pokaże, chodzą, śledzą, zasadzają się i poty pracują póki nie zabiją.

Wielki dochód w Polesiu dla wieśniaków stanowią barcie rozsypane w lasach, z których dają miód lub oczkowe płacą dziedzicom. Jest zwyczaj, że po zebraniu miodu, częstują nim wszystkich kogo spotkają, niosą do dworu i do karczmy w podarku; wierząc że ten udział daru Bożego na dobre im wychodzi i przysparza go. W opisie Litwy Eneasza Sylwiusa już o podobnym zwyczaju jest wzmianka. Wieśniacy którzy z bydła skóry zdejmują, nigdy pszczoł się nietkną, boby się im, jak

utrzymują, nie wiodły. Mierzą miód na Polesiu szczególną właściwą miarą (pięciokwartową), zwaną tciazowicą. Z każdej barci dają pewną ilość do cerkwi; miód ten przerabia się na pitny i w dzień prazniku we wsi szynkuje na korzyść skarbonsy, co nazywają kanonem. Wosk idzie na świece. Zwyczaj to powszechny na całym Polesiu Wołyńskim. Starosta cerkiewny z przybrnymi pomocnikami szynkuje, a arendarz ten swój ubytek kilkodniowy cierpliwie znosić musi. Mnóstwo wszelkiego rodzaju jagód i grzybów zbiera się po

lasach Poleskich. Pierwsze między niemi miejsce zajmują Żórawiny które po przemarnieniu dają sok wyborny, czernice, łochacze, brusznice, maliny, ożyny, poziomki. Gdzieniedzie były dawniej daniny z jagód, zwłaszcza czernic suszonych i orzechów.

Ku Wołyniowi zbierają także po mrozach mało użyteczną tarninę, której owoc cierpki i niesmaczny.

Czem dla mężczyzn jest polowanie na zwierza, tem dla kobiet jagody i grzyby. Całe lato zmieniają się cele tej przechadzki, lecz ona trwa ciągle; lasy na ówczas rozlegają się śpiewem, śmiechami, i ożywiają postaciami niewieściami. Ileż to pociesznych, ile wesołych przygód na jagodach i grzybach!

W Poleskich i Wołyńskich lasach są osady, tak zwane majdany biednych mazurów, rozrzucone po chat kilka i po jednej. Budnicy, po większej części przychodnie z piaszczystego Mazowsza, dawniej zajmowali się wyrobem drzewa i wypalaniem potaszów, dziś powoli i do roli brać się zaczynają. Są to najwięksi niszczyciele zwierza i drzewa. Stan tej klasy, po większej części bardzo nędzny, uprawa moralna prawie żadna; a zarobek ledwie na życie wystarcza. Sama tak daleka wędrówka i przesiedlenie okazują, że tu z jednemi tylko do pracy rękami przybyć musieli. Chaty ich, budy, liche; całe lato częstokroć mieszkają w szałasach ledwie od słoty ulewnej zasłaniających, razem z nie wielkim swym dobytkiem, który zimą i latem przywykł szukać paszy w lesie. Dawniejszy budnik nigdy się lepiej



nie budował, a wypaliwszy i wyciąwszy do koła co mógł, prznosił się w inne miejsce. Każdy z nich myśliwy, każdy cieśla; ubiór noszą z grubego pospolitego sukna, krojem kapoty, pas czerwony lub rzemienny, czapkę baranią w zimie, sukienną latem, buty lub kurpie na nogach. Budniczki ubierają się najniezgrabniej w rodzaj szlafroczków, a głowy zawijają chustkami kolorowemi; w stroju ich nic niema charakterystycznego, a twarze żółkłe, wychudłe, blade okazują ciężką pracę i niebardzo szczęśliwe życie. Bzadko który umie czytać lub pisać, a najdziwsze przesady zdają się być u nich niewykorzenione. Z resztą potulni, usłużni i z głupia frantowaci; rzadko czemś wybitniejszym się odznaczają, prócz trochę dumy, która ich od wieśniaków oddziela. Jeśli, jak się nam zdaje, twarz nawet klas pewnych społeczeństwa, stopnia ich moralnego ukształcenia dowodzi, budnicy nierównie niżej staną od naszych włościan. Typ fizioognomii hardy, bez cechy odrębnej, nie piękny nawet w kobietach, żadnego uczucia wdzięku któreby się w stroju przebijało. Prosty chłop, ze swem podaniowem odzieniem w którym mu tak do twarzy, daleko przechodzi biednego budnika, często strojącego się jak dzicy w wychodzone suknie nasze, tem brzydsze że nie wiedzieć jak włożone i użyte. Kobiety mają coś w sobie opuszczonego, zapracowanego, znużonego; i dziewczęta rzadko widzieć strojniesze nawet do kościoła, a stroje ich dziwnie niesmaczne. Rzadkie są bardzo wyjątki.

## 150. rocznica śmierci błogosławionych męczenników z Pratulina (24.I.1874)



23 stycznia br. mija okrągła, 150. rocznica śmierci błogosławionych unickich męczenników z Pratulina, którzy zostali zabici za wierność swej wierze. Natomiast ich historia świadczy o tym, że wiara nigdy nie może być «monetą przetargową» w igrzyskach politycznych możliwych tego świata.



### *Likwidacja Unii i prześladowania*

Po rozbiorach Rzeczypospolitej cały teren współczesnej Białorusi okazał się w składzie Rosyjskiego imperium, które na zagrabionych ziemiach zaczęło ustanawiać swoje porządki. W tym celu, nie przebiegające w środkach rosyjscy urzędnicy pragnęli wykorzystać także Kościół, przetwarzając go na zręczne narzędzie swojej polityki.

Jednym z czynów władz okupacyjnych w tym kierunku stała się likwidacja w 1839 r. Unii brzeskiej i gwałtowne podporządkowanie wszystkich greko-katolików kontrolowanemu przez carat prawosławiu. Temu procesowi towarzyszyły represje przeciwko osobom stanu duchownego oraz wiernym, którzy nie chcieli zrzec się swojej wiary i nadal uperali się, by pozostać we wspólnocie z Kościołem Katolickim.

W regionach zachodnich Rosyjskiego imperium, w tym na Podlasiu, Unia





przetrwała jeszcze kilkadziesiąt lat od czasu jej formalnej likwidacji. Celowe jej wyniszczenie tam zaczęło się dopiero w 1874 roku. Towarzyszyły temu srogie, nieraz krwawe represje. Trwał bowiem sprzeciw greko-katolików «nowym» porządkom religijnym, które miały wyraźne podłoże polityczne, za co wielu z nich byli represjonowani poprzez wygórowane podatki, areszty, wysyłki w głąb Rosji i tp.

### ***Wiara greko-katolików pratulińskiej parafii***

W niewielkim nadbużańskim miasteczku Pratulin (położonym na lewej stronie Bugu nieco w dół z prądem rzeki od Brześcia – red. EP), należącym do Patoczek, w tamtym niespokojnym czasie było dwie świątynie: kościół katolicki pw. św.

Apostołów Piotra i Pawła oraz drewniana cerkiew greko-katolicka pw. Św. Trójcy.

Parafia obrządku wschodniego w 1860 r. liczyła 1223 osoby, jednak w samym Pratulinie mieszkało tylko 5 parafian, a reszta zamieszkiwała okoliczne wsie: Bohukały, Zaczopki, Kołczyn, Warablin, Derło, Ługi.

Na początku stycznia 1874 r. dawny proboszcz pratylińskiej parafii greko-katolickiej Osip Kurmanowicz poprzez swoją uporczywą odmowę dostosowania się do nowych porządków został aresztowany i uwięziony. Cała parafia ze łzami w oczach odprowadzała zakutego w łańcuchy pastora, który mimo to zdążył na pożegnanie udzielić błogosławieństwa swoim wiernym, wzywając ich do zachowania swojej wiary.

Dlatego z usług nowego, lojalnego wobec władz carskich proboszcza – popa »»»



»»»» prawosławnego, pratułińskie parafianie zdecydowanie zrezygnowali: podczas świąt Bożego Narodzenia kobiety zamknęły cerkiew i ukryły klucz. Nowomianowany «proboszcz» parafii nie omieszkał o tym incydencie zawiadomić władzę, która nakazała każdym sposobem przekazać świątynie dla «swojego» kapłana.

### *Obrona wiary*

23 stycznia ponad 500 wiernych greko-katolickiej parafii zebrało się obok swojej świątyni, by nie wpuścić do niej prawosławnego popa. Po tragicznym wydarzeniu w Drelowie, gdzie 17 stycznia 1874 r. podczas obrony świątyni 5 parafian zginęło, 10 zostało ciężko rannych, a ok. 200 – pobito przez Kozaków, pratułińskie wierni zdawali sobie sprawę, jaka na nich czeka próba za oddaność swojej wierze.

Kiedy do Pratulina nadciągnęli Kozacy, nie patrząc na śmiertelne zagrożenie, pratułińscy greko-katolicy mimo wszystko

stanęli w obronie swojej świątyni. Wiara była ich największym skarbem. Żegnali się z bliźnimi, ubierali się w odzież świąteczną, – gdyż jak mówili – szli na sprawę świętą.

Od rana dwie kompanie Kozaków okrążyły cerkiew i cmentarz, gdzie już od kilku godzin trwały na czuwaniu modlitewnym kilkadziesiąt wiernych. Dostali rozkaz przyjąć nowego proboszcza i rozejść się po swoich domach. Także cynicznie zaproponowano im odwiedzić Drelowo, by na własne oczy przekonać się, co kosztuje opór wobec rozkazów władzy.

«Po cóż mamy gdzieś chodzić, – odpowiadały wieśniacy, – niech do nas przyjdą, by przekonać się, iż ten sam duch, co w nich żyje, i że ta sama wiara co w nich żyje, i nas ożywia, i że ta sama wiara i dla nich, i dla nas jest droga»

### *Męczeństwo zwykłych wieśniaków*

Kiedy carskie siepacze zdali sobie sprawę,



że nie da rady złamać wiare i upór wieśniaków, postanowili zdobyć świątynię siłowo, za pomocą bagnetów i kolb karabinów. Ale ta próba się nie powiodła, gdyż wieśniacy w starciu bezpośrednim za pomocą kijów i kamieni ten szturm odparły. Po południu oficer rozkazał ustawić szyki bojowe wzdłuż muru cerkiewnego i przygotować się do strzelania. Wiernych to jednak nie wystraszyło, – bowiem wszyscy byli gotowi umrzeć w obronie swojej świątyni i wiary.

Gdy oficer wydał rozkaz strzelać do zgromadzonych wiernych, wszyscy one odłożyli na bok swoją «broń» i zaczęli śpiewać pieśni religijne. Gruchnęła pierwsza salwa, upadli pierwsi zbiti i ranni, reszta ludzi jednak pozostała na miejscu. Bezbronnych ludzi Kozacy kłuli bagnetami, kijami bili po głowach, kolbami karabinów wybijano zęby, leżących na ziemi bito nogami, za włosy targano po ziemi... Obok cerkwi pozostało leżeć dziewięciu zbitych, 14 zostało ciężko rannych, ponad 180 osób brutalnie pobito i okaleczono.

Następnego dnia wszystkich zdrowych męczyczn z pratulińskiej parafii wywieziono do więzień w Białej Podlaskiej, Siedlec i Brześcia. Kobiety i dzieci rozpędzono od cerkwi biczowaniem, a tych, co zginęli podczas obrony świątyni, bez żadnego szacunku pochowali w ogólnym dole żołdacy rosyjscy. – Na ten pochówek nie wpuszczono nawet bliską rodzinę poległych, a mogiłę zrównano z ziemią, by ta pamięć o mężnym wyznaniu wiary została pochowana razem z nimi. W okolicznych wsiach zostało obwieszczono, że taki los czeka na wszystkich, którzy sprzeciwią się woli cara.

## *Nieśmiertelne świadectwo wiary*

O tych tragicznych wydarzeniach na Podlasiu niebawem rozeszła się wieść po całym chrześcijańskim świecie. Rozgłos międzynarodowy zmusił władzę carskie zaprzestać zabójstwa greko-katolików. Ale represję nadal trwały...

Ok. 100 lat temu, w 1918 roku, miejsce



pochówku pratulińskich męczenników zostało uporządkowane. Rok później zostały spisane świadectwa męczeństwa greko-katolików z Pratulina, a w 1938 roku został oficjalnie rozpoczęty proces beatyfikacyjny męczenników pratulińskich, – przerwany, niestety, przez wojnę i następne rządy komunistyczne w Polsce. Proces ten wznowiono dopiero w 1964 roku.

18 maja 1990 r. resztki ciał męczenników uroczystie przeniesiono do pratulińskiej świątyni rzymsko-katolickiej, a 6 października 1996 roku Papież Jan Paweł II ogłosił greko-katolickich męczenników z Pratulina błogosławionymi.

Dzień pamięci podlaskich męczenników obchodzony jest w Kościele w dniu 23 stycznia.

OPR. RED.  
ŹRÓDŁO: CATHOLIC.BY

# Już w 1869 roku w okolicach Baranowicz grano w hokeja na lodzie



**Jeden z podróżnych poprzez przypadek stał się świadkiem oraz opisał białoruską grę ludową «Kaczałki», bardzo przypominającą hokej na lodzie. Wydarzenie to miało miejsce 6 lat przed pierwszym oficjalnym meczem hokejowym w Kanadzie.**

Jak się okazuje, przeglądając stare wydawnictwa, można odnaleźć w nich mnóstwo ciekawych, wręcz niesamowitych faktów. W czasopiśmie «Kłosy» (nr 236 za

W przejeździe przez tę wioskę, zatrzymawszy się chwilowo dla dania wypoczynku koniom, widzieliśmy na płaszczynie przed karczmą odbywającą się przy dniu świątecznym dziwną grę ludową, znaną pod nazwą *kaczałki*, albo *krążka*. Młodzież wioskowa podzielona na dwie partye, stała jedna od drugiej gromady o sążni czterdzieści. Każdy tam należący do gry chłopak, uzbrojony był w długą na parę łokci pałkę. Po uszykowaniu się w równej linii, jedna ze stron walczących popychała kijami rzucony przed nią, na trzy cale szeroki, a na cal gruby, krążek drewniany; zaś druga strona odbijała swemi kijami tenże toczący się krążek w przeciwną stronę. Odbijanie to dopełniało się w różnych kierunkach, podobnie jak wystrzały z dział, to jest horyzontalnie, rykoszetem i przez elewacją, według praw uderzenia. Odbity w ten sposób krążek, leciał w powietrzu i często graczom zadawał mordercze razy po różnych częściach ciała, jeżeli wcześniej odbity, nazad nie odskoczył.

Uhawieni tą szczególną, świadczącą o energii i pewnej odwadze szermierzy, grą ludową, posunęliśmy się dalej. Na końcu wsi, gdyśmy po za ostatnią jej chatą wjechać mieli na otwarte pole, nagle pod

1870 rok) ukazał się artykuł Edwarda Chłopickiego z cyklu «Notatki z podróży». E. Chłopicki pod koniec 1869 r. podróżował po terenie współczesnej Białorusi Zachodniej, pewnego razu kierując się do Nieświeża. Jak opisuje swoje wrażenia Chłopicki, podczas podróży do Nieświeża, – nocował on w Tuchanowiczach i Połoneczce, a następnie dojechał do Iszkołdzi «z jednym z najstarszych kościołów w tym kraju».

– «...Za Iszkołdzą, wśród równin dość monotonnych, przejechałem około 10 wiorst i za lekkim pagórkem wjeżdżam do Łysicy (obecnie wieś na pograniczu z Nieświeskim rejonem – red.). Miejscowość ta składa się ze wsi oraz zaścianka szlacheckiego. Zatrzymałem się w tej wsi, by dać odpocząć koniom.

Był dzień świąteczny i na placu przed karczmą odbywała się jakaś dziwna zabawa ludowa, nazywana przez miejscowych «Kaczałki» lub «Krużki» (Krążki).

Podzielona na dwie grupy młodzież wiejska stała naprzeciwko sobie w odległości 40 sażeni (ponad 80 m). Każdy z chłopaków był uzbrojony w długi na dwa łokcie kij. Po ustawieniu się szyków obydwu grup w linię, jedna z grup zaczynała pchać kijami rzucony przed sobą drewniany krążek ze średnicą o 3 cale i grubością o 1 cal (1 cal – 2,54 cm). Druga grupa starała się odbić krążek w inną stronę, od siebie. Odbijanie to odbywało się na różne jednak kierunki, jak wystrzały z armat. Czasem odbity krążek wystrzeliwał w powietrze, zadając bardzo bolesne razy w różne części ciała walczących...».

Jak więc można wnioskować, opisana przez Chłopickiego białoruska zabawa ludowa nazywana «Kaczałki», bardzo przypomina współczesny hokej na lodzie. Jedynie wówczas zabrakło bramek, jednak i w Kanadzie bramki zjawily się nieco później, a pierwszy oficjalny mecz hokejowy odnotowano w Montrealu w 1875 roku.

OPR. RED.



## OT, JAK TO BYŁO NA POLESIU

Ach, — morze, morze, —  
śledzie i węgorze —  
i złote rybki gdzieś tam daleko!  
Włazłem w wydłubaną kłodę,  
spoglądam na spokojną wodę —  
i płynę poleską rzeką.

Śledzie są tu u Berka,  
a w domu zacierka  
i słonina w kąpiście gotowana;  
zamiast węgorzy — miętuzy,  
a zamiast pomarańcz — harbuzy,  
i jaglanka zabelana.

Poleszuk kalafiorów nie je,  
wstaje rano, jak dnieje,  
i tylko noc go do izby zagoni.  
Jeżeli nie liszki,  
to chłopcy-malezyszki  
zjedzą niedojrzałe owoce z jabłoni.

Wojna nie jednego zabiła  
w tej wsi, co przy drodze była,  
ale ten, który w głuszy gdzieś siedział,  
całą wojnę tam przeżył,  
łódką drogę swą mierzył —  
i o wojnie nic wcale nie wiedział.

FRANCISZEK LACHOCKI,  
BARD POLESIA Z PRUŻAN

